NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. | Kraków, 16 czerwca 1906 r. | Nr. 24.

Rozstrzelanie dwóch bandytów.

(Treść na stronie 2).



Rozstrzelanie dwóch bandytów.

(Do illustracyi tytułowej).

Wobec dokonywanych w Warszawie ciągłych grabieży i napaści, których sprawcy bezkarnie uciekają, idea samosądu coraz szersze zyskuje pra-



Zmiany w Kole Polskiem: Poseł Dawid Abrahamowicz, wybrany prezesem wiedeńskiego Koła Polskiego w miejsce hr. Dzieduszyckiego, który został ministrem.

wo obywatelstwa wśród żyjącego pod obuchem bandytyzmu społeczeństwa. Zwłaszcza wśród sfer robotniczych każdy występny czyn godzący ku naruszeniu cudzej własności wywołuje natychmiastową reakcye w formie dokonywanego „lynchu“.

Właśnie tego rodzaju samosądu dokonali robotnicy przed tygodniem na Saskiej Kępie na osobach dwóch znanych opryszków Władysława Łachoty i Józefa Stępla.

Ludzie ci podczas ubiegłej jesieni pracowali przy budowie III mostu, w zimie jednak zaprzestawszy pracy, jęli się bandytyzmu. Obydwaj żonaci porzucili swe legalne żony i dzieci, oddając je na pastwę nędzy i połączyli się z dziewczynami publicznemi, które niewątpliwie pomagać im musiały przy sprzedaży kradzionych rzeczy oraz w sprawach złączonych z bandytyzmem.

W ubiegłą sobotę Łachota i Stępel uzbrojeni w rewolwery czekali na Pradze na wracających robotników, zajętych przy budowie III mostu.

Bandyci pod grozą broni palnej wymuszali od robotników oddawanie im otrzymanych przy wypłacie pieniędzy.

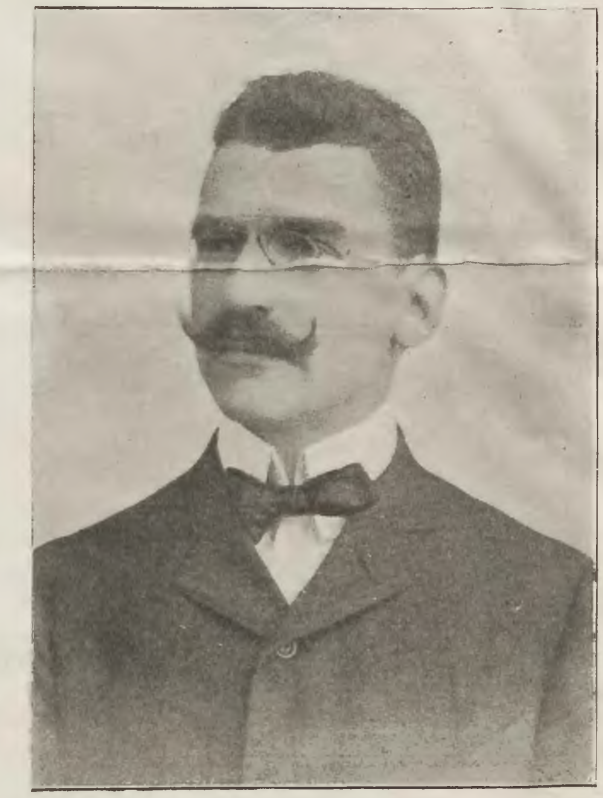
Ograbieni robotnicy powrócili do budującego się mostu i o fakcie łupiestwa zawiadomili swych towarzyszy.

Dokonany na razie pościg za bandytami, nie dał żadnego rezultatu, postanowiono więc wykonać sprawiedliwość nad grabieżcami nazajutrz. W rzeczywistości w niedzielę w godzinach popołudniowych robotnicy w liczbie 40 znaleźli się na Saskiej Kępie w restauracyi pod Dębem, gdzie Łachota i Stępel stale zachodzili. Bandyci jednak przeczuwając widocznie grożące im niebezpieczeństwo, tym razem do restauracyi nie przyszli, a ukryli się pod wałem ochronnym na łąkach Gocławskich. Tam jednak ich znaleziono i dokonano nad nimi samosądu w ten sposób, że Józef Stępel ugodzony kulą rewolwerową w czaszkę, padł na miejscu; Łachota zaś otrzymał ranę szczęki. Rannego odwieziono do szpitala na Pradze. Zwłoki zabitego pod strażą dwóch policyantów zostawiono na łące, należącej do Lifszyca, aż do zejścia władz policyjno-sądowych.

Skazany na 4 miesiące wieży.

B. redaktora „Gońca“ w Warszawie Bolesława Koskowskiego, osadzić w wieży na czas 4 miesięcy.

Tak brzmiała konkluzya wyroku, ogłoszonego przez wiceprezesa sądu uznającego p. Koskowskiego winnym oszczerstwa. Wyrok ten wywołał niebywałe wrażenie, nie ze względu na nienotowaną dotychczas w zastosowaniu do publicystów polskich, surowość kary, lecz ze względu na przesłanki, które do takiego właśnie wyniku doprowadziły. Jedną z nich, było wydrukowanie w Nr. 500 „Gońca“ r. z. notatki p. t. „Wolność osobista“, opisującej aresztowanie w d. 11 listopada r. z. na rogu ul. Żelaznej i Grzybowskiej ślusarza, Franciszka Smółkowskiego, którego, wedle brzmienia notatki, w cyrkule, z rozkazu pom. komisarza Iwanowa, zbito batogami do utraty przytomności. Wia-



Skazany na 4 miesiące wieży: Były redaktor „Gońca“ w Warszawie, Bolesław Koskowski.

domość ta, dostarczona do redakcyi przez jednego z byłych współpracowników, okazała się błędną. Gdy to spostrzeżono, wydelegowany przez redakcyę współpracownik, usiłował zakończyć sprawę polubownie, proponując umieszczenie sprostowania; Iwanow jednak, uważając, iż sprostowanie takie



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ fot. Br. Mieszkowskiego.

Gimnastyka sokola w Warszawie: Grupa uczestników „Koła gimnastycznego“ w Dolinie Szwajcarskiej, siedzibie warszawskiego Towarzystwa Łyżwiarskiego.

nie jest wystarczającem, wytoczył p. Koskowskiemu sprawę. Sprawa ta znalazła się na wokandzie po raz drugi; przed kilku tygodniami sprawę odroczono, wskutek nie stawienia się świadków oskarżonego redaktora, którzy mieli stwierdzić, że pan Koskowski nie redagował „Gońca“ w chwili wydrukowania inkryminowej notatki, że więc nie może za nią odpowiadać. I za drugim razem świadkowie ci nie przybyli na sprawę, a wobec nieotrzymania przez sąd awizacyi zwrotnych, niewiadomo nawet, czy otrzymali wiadomość o terminie sprawy. Przypuszczano ogólnie, że wobec tego sprawa ponownie będzie odroczona. W tym duchu przemawiał obrońca oskarżonego redaktora mecenas Papieski. Mimo to prezes Kniaziew ogłosił decyzyę sądu, z której widać, iż sąd tym razem uznaje tych samych, co przedtem świadków za nieważnych i postanawia sprawę bez nich osądzić. W chwili wydrukowania owej notatki p. Koskowski faktycznie nie redagował już „Gońca“, podpisywał go tylko, ponieważ zastępca jego nie był jeszcze zatwierdzony. Mecenas Papieski odwołał się od Izby sądowej ze skargą na wyrok.

Szesnastolecie ochotniczej straży pożarnej w Mikołajowie.

W maju bieżącego roku upłynęło szesnaście lat od chwili, kiedy po ostatniej wielkiej pożodze zawiązała się w Mikołajowie ochotnicza straż pożarna. Od tego czasu nie było już w Mikołajowie większego pożaru, gdyż dzielna drużyna strażacka każdy ogień stłumiła w zarodku.

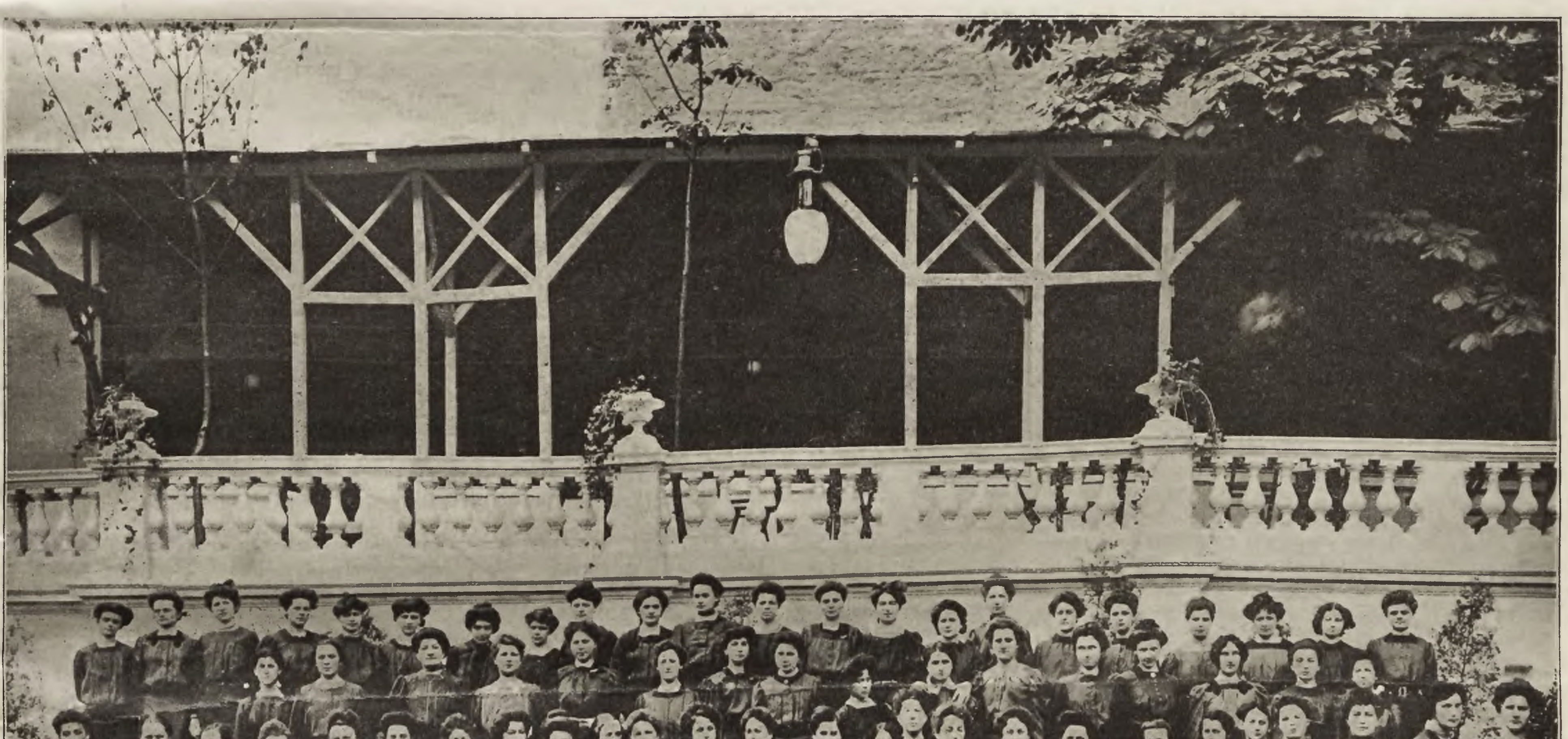
Ale, jak zwykle w naszych małych miastach i miasteczkach, chwilowy zapał ostygł prędko i straż pożarna od kilku lat zaczęła coraz bardziej upadać, a to dla braku odpowiedniego kierownictwa. Dopiero teraz, dzięki staraniom obecnego prezesa p. Zygmunta Ziembowicza, oraz dzięki energicznej pracy naczelnika p. Karola Baczyńskiego, straż pożarna ochotnicza znowu się podniosła i nie tylko podniosła, ale doszła nawet do tego, że dzisiaj służyć może śmiało za wzór dla innych ochotniczych straży. Prezes i naczelnik straży, spostrzegłszy, że Towarzystwu grozi rozwiązanie, że więc Mikołajów zostałby pozbawiony jednej z najpotrzebniejszych instytucyi, zorganizowali straż na nowo, zaapelowali do ofiarności inteligencyi i do Rady gminnej i z pomocą energicznego burmistrza p. Piotra Łabowskiego zdołali sprawić potrzebne rekwizyta, uniformy i td.

Ażeby zaś straż ochotnicza nie znalazła się znowu kiedy w takiem położeniu, w jakiem już była, aby nie dopuścić do upadku, sprawiono staraniem naczelnika p. Baczyńskiego sztandar straży, obok którego grupuje się obecnie 28 ludzi, doskonale wyćwiczonych, przejętych ważnością swego posterunku, gotowych poświęcić życie dla ratowania mienia mieszkańców. Tę dzielną drużynę z naczelnikiem i prezesem pośrodku, zamieszczamy na załączonej dziś fotografii, zdjętej z okazyi szesnastoletniego istnienia straży.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Michał Todt w Przemyślu.

Powódź w Przemyślu: Łódź na Sanie w ulicach Przemyśla z pogotowiem ratunkowem na czas powodzi.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustrowanych“ fot. Br. Mieszkowskiego.

Gimnastyka sokola w Warszawie: Grupa uczestniczek „Koła gimnastycznego“ w Dolinie Szwajcarskiej, siedzibie warszawskiego towarzystwa Łyżwiarskiego.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

12 Ciąg dalszy.

Laura zdana na jego łaskę i niełaskę, dała mu się unosić z zupełną rezygnacyą.

Gdy wyszli z lasu, postawił ją Kosiara na ziemi i kazał iść za sobą. Po kilkunastu krokach przystanęli przed jakąś chatą, gdzie zapukał on gwałtownie w okno. Wyszedł jakiś człowiek, snać dobry znajomy Kosiary. Przywitali się krótko i wszyscy troje weszli do środka. Wtedy Laurę zamknięto w jednej izbie i drzwi zaryglowano. Kosiara wyszedł z gospodarzem z chaty na podwórko, gdzie przez chwilę rozprawiali ze sobą.

Drzwi do izby, w której siedziała księżniczka, otwarły się tylko na to, żeby zamkniętej podać obfity posiłek, poczem zaryglowały się na nowo.

W kilka godzin później Kosiara wsadził Laurę na wóz i odjechali razem wśród ciemności nocy jakiemiś bocznemi drogami, na których było pełno wybojów, a wóz co chwila rozbryzgiwał duże kałuże błota.

Koło północy wysiedli i w towarzystwie jakiegoś młodego żyda przeszli potajemnie granicę. Laura widziała, jak Kosiara opłacał przewodnika. Z zasłyszanych słów ich rozmowy dorozumiała się, że przekradają się przez granicę, ale zoryentować się w żaden sposób nie mogła, gdzie się znajdują i którą granicę przekroczyli. Wnioskowała tylko z tego, że naokół nie słyszała innego języka, jak polski — iż muszą się znajdować albo w Galicyi, albo w Poznańskiem. Za mało bowiem miała doświadczenia i tego rodzaju podróży nigdy jeszcze nie odbywała, jakkolwiek często z ojcem wyjeżdżała za granicę — by módz na podstawie pewnych szczegółów charakterystycznych rozpoznać, dokąd ją przyprowadzono.

Jeszcze po nocy najął Kosiara znowu furmankę dla odbycia dalszej podróży, jednakowoż umawiał się z furmanem nie w jej obecności, więc księżniczka i tym razem nie mogła się niczego dowiedzieć.

Podróż trwała krótko i jeszcze słońce nie weszło, kiedy już wysiedli i Kosiara wprowadził ją do małego domku, jak jej się zdawało, na dalekiem przedmieściu jakiegoś większego miasta. Pytać o co nie miała okazyi. I tu bowiem zamknięto ją w jednym pokoju na klucz samotną, ofiarując jakieś brudne, ciepłe jeszcze po kimś, łóżko.

W domu tym gospodynią była jakaś niebrzydka, młoda baba, która jednak wydała się Laurze istną wiedźmą. Musiała to być jakaś dawna dobra Kosiary znajoma, która lubo wcześnie rozbudzona ich przybyciem, ucieszyła się nim bardzo.

Życie porwanej od boku ojca księżniczki w domu pani Płaczkowej (tak się ta młoda gospodyni nazywała) stało się dla biednej Laury istnem więzieniem.

Na każdym kroku pilnowano ją dniem i nocą. Poprostu z pokoju wyjść jej nie wolno było na chwilę. Kazano jej spać, kazano jeść i pić, a poza tem nie było jej wolno nic robić. Nie mogąc z nikim rozmawiać, oddana wyłącznie własnym myślom rozpaczliwym, czuła się młoda branka z każdą godziną nieszczęśliwszą i coraz bardziej poddawała się zwątpieniu. Byłaby jak najchętniej teraz czytała dużo dla zabicia myśli i czasu, jednakowoż nie miała ani książek, ani gazet w tej swojej niewoli.

Delikatny jej organizm odczuł w wysokim stopniu ową nagłą zmianę trybu życia, to też z każdą chwilą coraz bardziej opuszczały ją siły.

U ojca przez całe życie przywykła do wygód wielkopańskiego domu. Więc nie dziw, że tutaj raziło ją wszytko, to brudem, to nieestetycznym wyglądem lub przynajmniej prymitywnością urządzeń życia codziennego ludzi nie tylko niezamożnych, ale i nieoświeconych. To też dłuższy pobyt w takich okolicznościach był dla Laury męczarnią, tembardziej, ile że z jednej strony była wielce przygnębiona duchowo skutkiem niepewności swego losu i zwątpienia w możliwość rychłego ratunku ze strony swego ojca, a z drugiej strony poprostu głodziła się, nie mogąc spożywać jadła, które jej tu podawano, nietylko, że nie przywykła do tego rodzaju potraw, ale, że nadto brud mierził ją tak, iż straciła zupełnie apetyt.

Popadła w apatyę. Dzień spędzała przy oknie, patrząc na dziedziniec, a raczej na skrawek podwórka, zamknięty dla jej wzroku odrapaną z tynku ścianą jakiejś komórki.

Nocą przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Chwilami zdawało jej się, że opadnie ją mrowie robactwa. To znów obawiała się zasnąć na dobre w tej myśli, że mógłby kto skorzystać z jej snu twardszego; to też ile razy zdrzemnęła się, zrywała się zaraz z posłania i nadsłuchiwała, imaginując sobie, że już zbliża się do niej Kosiara.

Dla tych samych powodów nie zgodziła się nigdy wypić ani kieliszka wódki, mimo, że Płaczkowa stawiała przed nią codzień do obiadu i do kolacyi butelkę wódki.

Dotychczas gospodyni jej zachowywała się względem lokatorki-niewolnicy, jak niemowa. Parę razy na dzień słyszała Laura przekręcanie klucza w zamku, poczem drzwi się uchylały i Płaczkowa w milczeniu wnosiła jedzenie, stawiała je na stole, zabierała z poprzedniego naczynie zazwyczaj prawie nieopróżnione — i wychodziła, drzwi zamykając z powrotem.

Głos jej słyszała Laura nieraz za dnia na podwórku, gdy się z kim kłóciła, a zwłaszcza, gdy się mocniej upiła. To znów nocą słyszała ją za ścianą, rozmawiającą po cichu z Kosiarą, którego ani widzieć ani słyszeć nie można było nigdy za dnia.

Z rozmów jego z Płaczkową, mimo nocnej ciszy, nie doleciało do uszu Laury nigdy ani jedno słowo wyraźniejsze, żeby mogła stąd cokolwiek wywnioskować.

Zresztą nie zmieniało się nic lubo dni wlokące się powoli, mijały jedne po drugich, a porwana księżniczka do tej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Pewnego wieczora panował straszny wiatr, który zaczął wreszcie rozpędzać nieco chmury deszczowe po parodniowej słocie.

U Płaczkowej palono w piecu, w którego kominie musiało się coś popsuć, skoro skutkiem wichru wszystek dym wracał się do pieca i naraz napełnił całą kuchnię.

Laura w swoim pokoju siedziała po ciemku na stołku pod oknem, zasłuchana w melancholijny plusk deszczu o szyby i jękliwe wycie wiatru trzęsącego dachami, gdy wtem z zamkniętych drzwiczek zimnego pieca w jej izbie zaczął sadzić dym ogromnemi kłębami.

Przeraziła się tem nie mało, a kiedy gryzący dym wraz z sadzą zapełnił cały pokój, Laura zaczęła rękami tłuc we drzwi, wołając:

— Pali się!

Po chwili Płaczkowa usłyszawszy to, nagle drzwi otwarła, wpadła do pokoju i zobaczywszy, że jest cały pełen dymu, rzuciła się ku oknu i przewracając w pośpiechu parę doniczek z usychającemi kwiatkami, otwarła je nie bez trudu na oścież.

— Dobrze przynajmniej, żeś panna krzyczała... byłaby mi sadza wszystko w pokoju zniszczyła... To tak ino wiatr zawraca dym z komina na pokój...

To powiedziawszy, zaaferowana Płaczkowa pobiegła z powrotem do kuchni, z przyzwyczajenia jednak nie zapomniała drzwi zamknąć na klucz.

Laurę owionęło przejmujące zimno wilgotne, aż się zatrzęsła. Ale dławiąc się dymem, mimowoli wracała ku oknu, lubo wiatr chłodny wpędzał do środka krople deszczu.

Zerwała z poręczy łóżka grubą, w kilkoro złożoną chustkę, która jej nocą służyła za ciepłe okrycie — i owinąwszy się w nią, wychyliła się oknem, żeby zaczerpnąć powietrza.

Aż jej się w głowie zakręciło pod wpływem tego świeżego powiewu, którego w swem zamknięciu pozbawiona była tak długo... Doznawała teraz wrażenia podobnego, jak wówczas, gdy na samochodzie pędziła godzinami z Warszawy, uwożona w świat kędyś przez Kosiarę...

I jedno westchnienie rozpierało jej piersi w tej chwili.

— Gdyby tak teraz módz wskoczyć do czyjegoś automobilu i dać się uwozić z powrotem do Warszawy... stąd uciekać. uciekać...

Sama nie wiedziała, kiedy tą myślą podniecona, przelazła przez okno i na podwórku stanęła na błocie, zatulając się coraz bardziej w chustkę.

Ledwie kilka kroków zrobiła przed siebie, gdy pies na łańcuchu w budzie, koło furtki na drogę, zaczął ujadać rozgłośnie. Cofnęła się więc poza komórkę, która stała naprzeciw jej okna.

Teraz dopiero uprzytomniła sobie, że szczekanie psa może zwrócić uwagę Płaczkowej lub Kosiary, o ile ten byłby w domu — i że ktoś mógłby zajrzeć do jej pokoju...

Więc tembardziej odczuwając konieczność pośpiechu, rozejrzała się, którędy dałoby się co rychlej uciec najłatwiej.

W mgnieniu oka wdrapała się na jakąś skrzynię i przy jej pomocy znalazła się na parkanie, z którego udało jej się powoli zsunąć na pole, gdzie nie natrafiając na żadne przeszkody, zaczęła biedz przed siebie.

Wkrótce przystanęła pod jakiemś drzewem i oparła się o nie, chcąc wypocząć. Tu zaczęła się rozglądać wokoło. Deszcz ustawał nieco, wiatr tylko hulał po polu, ziębiąc dotkliwie.

Zresztą było cicho i pusto. Nigdzie żywego ducha.

Laurę zdjął strach.

Jeszcze nigdy w życiu nie widziała nigdzie takiej pustki i nie czuła się tak samotną między niebem a ziemią.

Ale po chwili uspokoiła się pod wrażeniem tej myśli, iż jest nareszcie wolną. Jakaś nadzieja zaświtała w jej duszy, że jeżeli pościg Kosiary za nią nie powiedzie się, to może tym razem zdoła znaleźć sposób powrotu do ojca lub przynajmniej uwiadomienia go o miejscu swego pobytu...

Ale gdzie ona się znajduje?

Z tem pytaniem w myśli ruszyła na oślep przed siebie. Szła długo polami od deszczu rozmokłemi. Wzrok jej powoli tak przywykł do ciemności, że po pewnym czasie rozpoznała z daleka gościniec i żeby się do niego prędzej dostać, zmieniła kierunek drogi.

Na szosie błoto było jeszcze większe, lecz Laura nic sobie z niego nie robiła, idąc przed siebie. Wtem turkot usłyszała. Ukryła się za drzewo i obserwowała. Powoli nadjeżdżała jakaś nędzna fura. W pierwszej chwili imaginacya kazała jej dostrzedz na wozie ścigającego ją Kosiarę. Kiedy jednak fura zbliżyła się do drzewa, poza którem stała Laura, można było rozróżnić wyraźnie jadącego podróżnego.

Był to stary żyd, który wiózł jednym koniem ciężkie towary.

Wypadła więc Laura na drogę i wóz zatrzymała.

— Panie... dokąd ta droga prowadzi?

— Do Mogiły — odparł żyd dopiero po chwili, przypatrzywszy się wprzódy pytającej.

— Dokąd... do Mogiły... A cóż tam jest?

— Nu, co ma być... to pani nie wie, co jest Mogiła...

— A może mnie pan powie z łaski swojej, gdzie tu jest najbliżej jakie miasto.

Żyd zaczął się śmiać.

— Miasto... Do miasta nie tędy, tylko przeciwnie, w tamtą stronę...

— W tamtą stronę, powiada pan... A jak się nazywa to miasto?

— Pani nie wie, jak się nazywa... To pani nie tutejsza może?

— Naturalnie, że nie tutejsza, nie pytałabym przecież..

— A, to pani chce do Krakowa... to już tutaj, proszę pani... o, tam, gdzie widać dużo światła, do rogatki już niedaleko.

— Więc to Kraków jest... Co pan mówi... A pan nie byłby łaskaw mnie tam podwieźć do miasta?

— Jakżeż ja mogę panią podwieźć, kiedy ja właśnie jadę z miasta. Gdybym nie był z towarem, to mógłbym nawrócić, ale tak, to nie mogę. Niech pani idzie tam prosto, jak jest droga, a zajdzie pani za niedługo na rogatkę, to pani tam powiedzą, którędy iść na jaką ulicę, gdzie pani potrzeba.

Wóz ruszył z miejsca, a Laura podziękowawszy, oddaliła się w przeciwną stronę, strapiona, a zarazem pocieszona.

— Kraków... Przecież nie sposób, żebym sobie nie dała rady w Krakowie... Tam chyba potrafię zawiadomić ojca o tem, gdzie mnie ma szukać

W drodze po gościńcu nie spotykała nikogo, ale szła bardzo uważnie, żeby każdej chwili ukryć się w rowie, za drzewem, czy za kupą kamieni, gdyby tylko kto przejeżdżał lub przechodził; w szczególności miała na myśli mężczyzn, lubo o tej porze i tak nie można było spodziewać się kobiet na zamiejskiej szosie.

— Gdyby to nie noc — myślała sobie Laura, pełna trwogi o to, jak sobie poradzi do dnia białego.

Naraz rozpoznała a raczej domyśliła się, że mija rogatkę miejską. Nie oryentując się w tych rzeczach, wyobrażała sobie, że jest zupełnie możliwą rzeczą aresztowanie jej za nocne włóczęgostwo, przypuszczała bowiem, że na rogatce czuwa policya a nie straż cłowa. Uradowała się tedy ogromnie, gdy spostrzegła, że udało się jej przekroczyć rogatkę, a nikt jej nie zauważył, ani nie zatrzymał.

Zaniepokoiła się trochę, kiedy minąwszy rogatkę, nie zastała, będąc już w obrębie miasta,

ulic i domów, jak sobie je wyobrażała. Tymczasem w tym punkcie, na kresach miasta, droga jej nie wiele różniła się teraz, wśród nocy, od gościńca za rogatką.

Nie trwało to jednak długo i naraz przed jej oczyma zjawił się długi szereg gazowych latarń ulicznych. Pobiegła jego śladem, nie zbaczając ani na chwilę z chodnika. Byle znaleźć się w środku miasta, to, jak myślała, będzie już bezpieczną.

Prostą ulicą, którą biegła teraz, nie szli ani ludzie, ani nie jechały wozy. Cisza była dokoła, a ciemne okna po domach świadczyły, że tu wszyscy śpią od dawna. Parę razy tylko przesunął się ciężkim a śpiesznym krokiem koło niej jakiś człowiek z kolorową latarką w ręce, wcale na nią nie zwracając uwagi.

Wtem ciszę rozdarło ciężkie sapanie, dudnienie i naraz Laura spostrzegła kłęby pary białej i ogromne bałwany brunatnego dymu. To ulica w tem miejscu zbiegała podkopem popod tor kolejowy na moście. Przystanęła na chwilę tutaj i rozglądając się, domyśliła się, że znajduje się przy dworcu kolejowym.

Iskra nadziei zajaśniała w jej myślach. Wszak to rzecz najprostsza, udać się na kolej, wsiadać na pociąg i jechać do Warszawy.

Jednakowoż rychło przyszła rozwaga. Jechać bez biletu nie można, a biletu bez pieniędzy nie dostanie. Zresztą przypomniała sobie nagle, że jest za kordonem, więc bez paszportu nie dostanie się do Królestwa... Prawda, ona jest bez żadnych papierów, dowodów legitymacyjnych i bez pieniędzy — jak włóczęga...

A jeżeli ją policyant zaczepi, jakżeż mu się wytłómaczy, czyż on zechce uwierzyć w jej bajecznie awanturniczą historyę, którą musiałaby mu opowiadać na dowód, skąd się tu wzięła w ciemnościach nocnych na obcym bruku...

Teraz już prawie nie wątpiła, że musi ją spotkać aresztowanie na ulicy. Lecz kiedy się nad tem zastanawiała, nabierała przeświadczenia, iż to byłby chyba najlepszy sposób ocalenia się przed ewentualnym pościgiem Kosiary, a zarazem jedyna droga do uwiadomienia ojca, żeby tu po nią przyjechał. Inaczej, niema o czem jechać do niego, ani za co dać mu znać depeszą.

Myśl wszakże o policyi, o aresztowaniu na ulicy itp. tak ją przerażała, iż biedna dziewczyna zaczęła na nowo rozmyślać, co tu począć, byle tego właśnie uniknąć.

Rozległ się przeraźliwy świst parowozu na dworcu i Laura zaczęła oddalać się co prędzej od kolei, pędzona obawą, że Kosiara chyba goniąc ją, nie pójdzie szukać gdzie indziej, jak przedewszystkiem na dworcu, domyślając się, że mu tędy będzie uciekała.

Deszcz padał drobny, a gęsty.

Przemokła i przeziębła Laura, aż westchnęła naraz, ujrzawszy na najbliższym rogu ulicy kilka dużych okien jasno oświetlonych, skąd przez imaginacyą już czuła rozkosz suchego ciepła, jakiej doznają ludzie siedzący wewnątrz.

Na rogu stały, moknąc na deszczu, dwie dorożki bez woźniców. Zresztą było pusto, więc Laura zdecydowała się zbliżyć do okien jasno oświetlonych, skąd dolatywały odgłosy wrzawy wesołej.

Przez szyby deszczem obryzgane zobaczyła mężczyzn grających w bilard, a pod ścianami kilka towarzystw pijanych siedzących przy stolikach przy czarnej kawie.

Była to zatem jakaś nocna kawiarnia.

I naraz uczuła Laura i głód i pragnienie. Nie wiedzieć co byłaby w tej chwili oddała za szklankę gorącej herbaty, a przedewszystkiem za godzinę siedzenia przy jednym ze stolików kawiarnianych w miejscu suchem i ciepłem.

Wzdychając do tego wszystkiego, odczuwała w tej chwili bardziej niż przedtem, jak jest już znużona i przemokła, to też trzęsła się na całem ciele z zimna, przysuwając się do szyby oświetlonego okna.

Jak się tam dostać bez pieniędzy — myślała sobie, zobaczywszy, że wśród wielu mężczyzn znajduje się na sali także kilka kobiet, co byłoby ją było ośmieliło do wejścia — gdyby nie brak portmonetki — nawet w tak opłakanym stanie, w jakiejś grubej chustce, w przemokłej do nitki sukni i w zabłoconych do kostek trzewikach.

Wtem z hałasem drzwi kawiarni otwarły się i wyszedł z nich młody mężczyzna w pelerynie, w kapeluszu z dużą kresą powywijaną fantastycznie.

— O, serwus... a to ci bestya leje — bąknął sam do siebie, deszcz ujrzawszy i zatrzasnął drzwi kawiarni.

Laura odskoczyła od okna przerażona i zażenowana zaglądaniem przez szyby, a wśród tego ciężka chustka zsunęła się z jej główki niżej na ramiona. Schwyciła ją opadającą rękoma, ale już nie zdążyła zakryć sobie w porę twarzy przed nieuniknionem spojrzeniem wychodzącego z kawiarni mężczyzny.

Ten się uśmiechnął, zwracając się ku niej, lecz nagle cofnął się, spoważniał i wzrok baczny zatopił w twarzy młodej kobiety, która również zaniechała zamiaru ucieczki, lecz oczy otwarła szeroko i zdumionym wzrokiem objęła postać młodzieńca.

— Loreczko... Czy to pani... panno Lauro?

— Bóg mi pana zsyła, panie Cypryanie... Teraz nareszcie wierzę, że jestem już uratowana.

— Cóż się pani stało, na miłość Boską... W jakimże ja stanie zastaję cię, księżniczko... Ależ pani cała drżysz z zimna, przemokłaś zupełnie, jak widzę... Zanim mi pani powiesz, co zaszło, muszę cię przedewszystkiem zaprowadzić w jakieś miejsce suche, ciepłe... widzę, przemokłaś pani niemożliwie... Trzeba pomyśleć natychmiast o jakim noclegu.



— Zrób z nim krótki rachunek — zawołał Kosiara do swego towarzysza.

— Upadam ze zmęczenia i jestem prawie słaba, tak przemokłam i przeziębłam, jestem wygłodzona i muszę koniecznie napić się czegoś gorącego dużo i zaraz, jeżeli niemam rozchorować się ciężko — mówiła księżniczka pełna otuchy — ale zwracam ci uwagę, panie Cypryanie, że skoroś mi dziś życie ocalił, to mi już nie daj zginąć... A ja nie mam przy sobie nic, nic, dosłownie ani grosza... mając zaś portmonetkę, byłabym już weszła do tej kawiarni pierwszej, jaką napotkałam, odkąd weszłam do miasta... Więc niechże pan sam radzi, zanim nie odzyskam ojca.

— Ależ to bagatela, wszystko załatwimy nawet bez kłopotu, bo ja wyjątkowo mam dziś flotę, obłowiłem się srodze, bo sprzedałem aż dwa obrazy... Ale musisz pani przedewszystkiem zdecydować się wejść do tej knajpy rozgrzać się i osuszyć.

— Owszem, wszystko mi jedno gdzie... Wszak jestem pod pańską opieką...

— Nie, tu są ludzie, którzyby się panią interesowali, gdybyś się w tej spelunce znalazła w mojem towarzystwie... O kilkanaście kroków dalej jest szynczek najpodlejszy, w którym zgubimy się zupełnie i będziesz mi pani mogła swobodnie udzielić wszelkich objaśnień, co się stało i co robić.

Przy tych słowach ruszyli z miejsca z powrotem w stronę kolei.

Zupełnie oszołomioną czuła się Laura w pierwszej chwili, gdy usiedli w kącie salki jakiejś czwartorzędnej restauracyi, w której o tej porze, przy rozdzierających ucho dźwiękach marnej kapeli cymbalistów, zapijało się piwem kilkunastu ludzi ze służby kolejowej z pobliskiego dworca.

Rozgrzawszy się i posiliwszy, przyszła nieco do siebie i mogła młodemu towarzyszowi opowiedzieć szczegółowo swoje niezwykłe przygody.

Zaczęto wreszcie debatować nad tem, co należy uczynić, w celu zawiadomienia ojca i wezwania go do Krakowa. Zdecydowano się wysłać jeszcze tej nocy depeszę do Warszawy.

Młody malarz zaraz z ołówkiem w ręce redagował treść telegramu na świstku papieru i spierano się tylko o to, czy zawiadomienie ma być podpisane przez nią lub przez niego.

— Nie zapominaj, panno Lauro, że naówczas, kiedy malowałem twój portret, książę spostrzegł się, iż nawiązuje się między nami jakaś nić sympatyczna, która w miłość urastała... i napędził mnie po prostu ze swego pałacu, w obawie, żebym mu córki nie zbałamucił... Trzeba mieć to na względzie, iż ojciec jest źle usposobiony dla mnie, wcale mi nie ufa i będzie tylko wielce zaniepokojony, dowiedziawszy się, że jesteś pod moją opieką właśnie.

W godzinę później znajdowali się pod gmachem głównej poczty, dokąd poszli dla wysłania depeszy do księcia Czerskiego.

Cypryan Krzesiak nie chciał Laury w tak opłakanym stanie, w jakim znajdowała się po ucieczce wśród deszczu i błota z domu Płaczkowej — zaprowadzić do żadnego hotelu, tylko zaproponował, że wystara się dla niej o wygodny i odpowiedni nocleg w mieszkaniu gospodyni, od której odnajmował pokój na swoją pracownię malarską.

Panna Czerska przystała na to jak najchętniej, zapomniawszy już zupełnie o swoich nieszczęsnych przygodach, a uszczęśliwiona ocaleniem.

Żartowala sobie nawet, rozmawiając z nim wesoło.

— Więc pani nie obawiasz się, pójść ze mną do mego kawalerskiego mieszkania — zagadnął ją właśnie, śmiejąc się serdecznie Cypryan, gdy wtem jakaś niewidzialna ręka odepchnęła go gwałtownie od Laury.

— A to co — krzyknął Krzesiak, pośpiesznie obejmując wpół pod murem księżniczkę.

— A co pan masz do mojej córki — zagrzmiał nad nim groźny głos obcego mężczyzny.

— Pańskiej córki... Czyś pan zwaryował...

— Ratuj mnie, Cypryanie... to on... Kosiara.

W tej chwili właśnie Kosiara przemocą oderwał Laurę od Krzesiaka, który ją chciał bronić, a jakiś obcy jej, towarzysz zbója rzucił się na młodego malarza, chcąc go obezwładnić.

— Zrób z nim krótki rachunek — zawołał Kosiara do swego towarzysza — zdziel go przez głowę — doradzał, odprowadzając na bok Laurę, a widząc, że ten szamoce się z młodzieńcem długo.

Wtedy księżniczka zobaczyła w ciemnościach nocy, jak Cypryan upadł na bruk, uderzony kijem w głowę przez obcego draba.

. . . .

Sama omal nie omdlała na ten widok i chciała krzyczeć o pomoc, ale Kosiara zatkał jej usta i poprowadził ją śpiesznie przez Planty miejskie, prawie wlokąc za sobą zrozpaczoną ofiarę, która ponownie znalazła się w strasznych szponach zbója.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polska Organizacya narodowa w Stanisławowie.



Franciszek Burzyński, I. wiceprezes.



Jan Zubczewski, prezes.



Stanisław Horoszkiewicz, II. wiceprezes.



Dr. Maryan Ostański, I. skarbnik.



Aleksander Saloni, sekretarz.



Jan Poschinger, II. skarbnik.

Polska Organizacya narodowa w Stanisławowie.

Rusini postanowili przy poparciu rządu centralnego i organów jego miejscowych, zrobić ze Stanisławowa swoją metropolię. W obec tego powstała w Stanisławowie przed laty trzema „Polska organizacya narodowa“, która wzięła sobie za zadanie, strzedz praw narodowości polskiej, umacniać polskie instytucye i posterunki, lud polski uświadamiać, uczyć go kochać mowę ojczystą, szanować i czcić swój obrządek i rozdmuchiwać przygasłe iskry znicza narodowego. Pracę zakrojono poważnie i wzięto się do niej gorąco. Od lat trzech uczyniła też „Organizacya narodowa“ w stanisławowskim powiecie znaczne postępy. Odczuto potrzebę solidarności narodowej i niechęci osobiste odsunięto na bok, stawiając jako zasadę: „dobro Ojczyzny po nad dobro osobiste“.

W trzech, a właściwie dwóch latach zrobiono istotnie bardzo wiele, idąc wszędzie z pomocą tam, gdzie żywiołowi polskiemu groziło niebezpieczeństwo. „Polska Organizacya narodowa“ zajęła się budowaniem kościołów i kaplic, organizowaniem szkół, szkółek początkowych, ochronek i czytelń, budzeniem uśpionych, krzepieniem obojętnych lub zwątpiałych.

Na czele „Organizacyi“ stanął człowiek gorącego patryotyzmu i wypróbowanej mocy charakteru, który żarliwością swoją i umiłowaniem idei przez siebie reprezentowanej może być wzorem cnót obywatelskich.



Specyalne zdjęcie amatorskie dla „Nowości Illustrowanych“.

Poświęcenie sztandaru sokolego w Brzesku: Grupa Sokołów brzeskich, z prezesem p. Szymonem Bernadzikowskim i wiceprezesem p. Stanisławem Stokłosą na czele, w otoczeniu gości, przybyłych na uroczystość poświęcenia sztandaru.



Czarny kot zamknięty: Poeta i literat Franciszek Garliński, redaktor „Czarnego kota“ w Warszawie, któremu zamknąwszy pismo, wytoczono szereg poważnych spraw sądowych.

Jest nim p. Julian Zubczewski, dyrektor seminaryum nauczycielskiego w Stanisławowie. Obok niego zaś stoją jako wiceprezesi, obywatele doświadczonego patryotyzmu pp.: Burzyński notaryusz i Stanisław Horoszkiewicz, dyrektor Banku mieszczańskiego i przemysłowiec, dalej jako skarbnicy: dr. Maryan Ostafiński i Jan Poschinger, wreszcie sekretarz Organizacyi p. Aleksander Saloni. Obok tych stoi cały szereg rzetelnych pracowników narodowych, ludzi pełnych poświęcenia i zapału dla sprawy, jako członkowie wydziału i komitetu lub jako delegaci rozmaitych polskich towarzystw do Organizacyi. W stosunki tak miasta jak i powiatu wszedł czynnik nowy, świadomy celów naukowych, szczerze obywatelski, zasługujący na powszechny szacunek. Jedną z ostatnich instytucyj powołanych przez „Organizacyę“ do życia, jest „Polska Kasa pożyczkowa dla włościan“.

„Organizacya“ powołała do życia w b. r. tygodnik „Straż“, niezbędnie potrzebny organ dla obrony i strzeżenia interesów polskości w powiecie i spełniający skutecznie tę misyę, czego dowodem jest szybki rozrost tego pisma, W ostatnim roku przybyło tej narodowej instytucyi członków w dwójnasób i obecnie liczy ona ich około tysiąca. Jest to w każdym razie cyfra bardzo poważna.

Za przykładem Stanisławowa powinnyby pójść inne miasta we wschodniej Galicyi — gdzie przecież mamy milion sześćkroć tysięcy polskiej ludności.



Fotografia fotografów: Majordomus pałacu Natolińskiego, zdjęty przez inżyniera Karasińskiego w czasie wycieczki warszawskiego Tow. fotograficznego.

Poświęcenie sztandaru sokolego w Brzesku.

W niedzielę 3 bm. w pierwszy dzień Zielonych świąt, obchodziło Brzesko jednę z większych uroczystości. W dniu tym odbyło się bowiem poświęcenie sztandaru Sokoła brzeskiego.

Ze wszystkich gniazd okręgu tarnowskiego, a nawet i z dalszych okolic, jak z Mielca, przybyły do małej, z gruzów dopiero niedawno powstałej mieściny, liczne zastępy sokolich drużyn. Do



Fotografia fotografów: Grupa uczestników wycieczki członków Warszawskiego Towarzystwa fotograficznego przed pałacem w Natolinie. (Zdjęcie jednego z uczestników, fotografa-amatora, inż. Karasińskiego).

pochodu stanęło przeszło 300 druhów, a w ćwiczeniach brało udział około 80. Po nabożeństwie w kościele parafialnym przemówił do zgromadzonych w podniosłych słowach prezes gniazda brzeskiego dr Szymon Bernadzikowski, wręczając sztandar chorążemu, p. Wiktorowi Bętkowskiemu. Wśród zgromadzonych powszechną na siebie zwracali uwagę delegaci włościańskiego Sokoła ziemi kra-

poseł F. Bujnowski, prezes II. okręgu tarnowskiego i wielu innych.

Popołudniu, po wspólnym obiedzie w browarze, odbył się w ogrodzie sokolskim festyn. Przygrywała orkiestra salinarna z Bochni. wiczenia druhów przerywała co chwila burza oklasków ze strony licznie zgromadzonych widzów.

Cały przebieg uroczystości był podniosły, owia-



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Michał Todt w Przemyślu.
Powódź w Przemyślu: Pionierzy przewożą na łodziach mieszkańców zalanych przez San kamienic nad brzegiem rzeki; w głębi przytulisko Brata Alberta pod wodą.

kowskiej, z p. Stanisławem Cholewickim ze Szczurowa na czele. P. Cholewicki wygłosił również podniosłą i w głębokie myśli bogatą przemowę, którą serdecznie wzruszył wszystkich uczestników.

W uroczystości wzięli jeszcze udział pp.: dr Stanisław Nowaczyński, prezes gniazda mieleckiego. Fr. Obmiński prezes gniazda dąbrowskiego, dr Stanisław Flis, prezes gniazda nowosądeckiego,

ny jakiemś dziwnem tchnieniem serdeczności i polskości, pozostawił też w sercach wszystkich uczestników niezatarte wspomnienia.

* * *

Na załączonej obok illustracyi podajemy Czytelnikom grupę komitetu sokolego ze sztandarem, w otoczeniu przybyłych na tę uroczystość gości.

Czarny kot zamknięty.

Od czterech tygodni w Warszawie wychodził tygodnik satyryczny p. t. „Czarny kot“, który z niesłychaną werwą chłostał biczem satyry obecne nasze stosunki społeczne i polityczne. Pismo wychodziło pod redakcyą p. Franciszka Garlińskiego, współpracownika „Ateneum“ i „Wędrowca“, a do zespołu głównych jego sił należały najlepsze warszawskie siły satyryczne.

Po wyjściu ostatniego, czwartego numeru „Czarnego kota“, do redakcyi i administracyi przybyła policya i skonfiskowała cały nakład, a jednocześnie p. Garlińskiemu wytoczono 3 sprawy: z art. 129 (podburzanie do zabójstwa — karane do 3 lat więzienia), 281 I. (rozpowszechnianie kłamliwych wieści o postępowaniu wojska — kara 1 roku 8 miesięcy twierdzy), i z art. 245 (obraza majestatu i ośmieszanie osoby cesarskiej, kara od 10 do 12 lat ciężkich robót). — Jednocześnie z konfiskatą z decyzyi sądowej wydawnictwo „Czarnego kota“ zostało zawieszone.

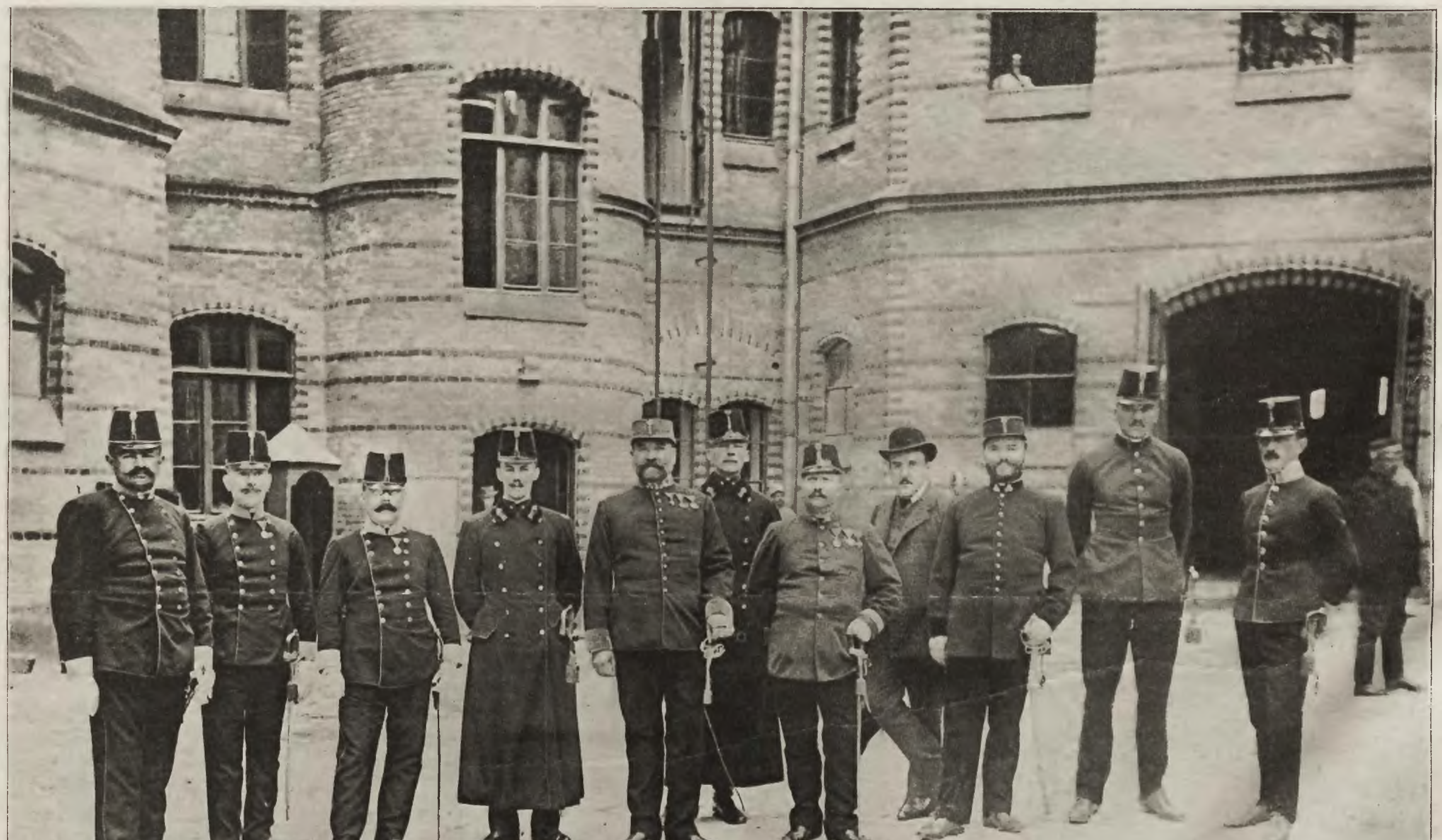
Fotografia fotografów.

Warszawskie towarzystwo fotograficzne odbyło przyjemną wycieczkę do Natolina.

Właśnie przed frontem pięknego pałacu Natolińskiego widzimy na naszej illustracyi grupę uczestników majówki, a członków tego Towarzystwa.

Sami fotografowie, zamiłowani w swoim sporcie. Każdy z aparatem, a choćby z aparacikiem kieszonkowym. Robią wszyscy zdjęcia. I znaleźli się wreszcie razem na łamach „Nowości Illustrowanych“, które tak często z ich zdjęć korzystają.

Piękna fotografia grupy uczestników tej wycieczki została wykonana przez zapalonego miłośnika sportu fotograficznego, inżyniera Karasińskiego z Warszawy, który przy tej okazyi zdjął również charakterystyczną postać zarządzającego pałacem Natolińskim. Widzimy go tu przy drzwiach stylowych pałacu: to jego stary majordomus. Takich figur po naszych starych zamkach, dziś już coraz mniej, więc chyba należało uwiecznić tę postać typową, której Czytelnicy nasi niewątpliwie przyjrzą się tu z ciekawością, zwłaszcza, że reprodukowaliśmy ją ze świetnej fotografii.



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Marek Münz we Lwowie.
Wojskowy kurs pożarniczy we Lwowie: Komisya wojskowa podczas egzaminu wojskowego kursu strażackiego we Lwowie.

Wojskowy kurs pożarniczy we Lwowie.

Każdego roku przydziela wojskowa komenda kilkudziesięciu żołnierzy z rozmaitych pułków lwowskich do nauki zasad gaszenia ognia, obchodzenia się z przyrządami pożarniczemi itd. Nauka ta odbywa się w miejskiej strażnicy ogniowej, pod kierownictwem naczelnika lub jego zastępcy.

Ostatni taki wojskowy kurs pożarniczy trwał przez dwa tygodnie, od 15-go do końca maja. Uczęszczało nań 35 żołnierzy. Kierował kursem zast. naczelnika straży ogniowej p. Eliasiewicz. Kiedy nauka na kursie dobiegła do końca, odbył się na podwórzu koszar strażnicy miejskiej popis, na który przybyła wojskowa komisya z majorem Szaszkiewiczem na czele. Popis wypadł bardzo dobrze, żołnierze swojemi ćwiczeniami złożyli dowód sprawności, karności i dużej wprawy, wykazali też, że kierownik kursu nie tracił czasu, lecz pracował dzielnie nad ich wykształceniem.

Szkoła korpuśna.

Szkoła korpuśna 10 go korpusu w Przemyślu kończy swój tegoroczny kurs. Przed rozejściem się wszyscy frekwentanci udali się wraz z generał-majorem Keilerem do Zakopanego i okolicy, gdzie będą przebywali do 16 czerwca.

Załączona fotografia przedstawia wszystkich frekwentantów wraz z komendantem Keilerem.

Zdjęcia dokonał fotograf przemyski, Michał Todt.

Powódź w Przemyślu.

Biedna ta Galicya! Rok po roku staje się widownią klęsk dotkliwych, sama dość już biedna...

Posucha, lub przydługa słota, gradobicia lub pożary, jeśli nie wylewy i powodzie... Nie jedno, to drugie, a nieraz kilka klęsk żywiołowych w jednym roku.

Dopiero przed trzema laty powódź niezwykłych rozmiarów sprawiła w kraju tyle zniszczenia, a już rzeki nasze grożą wylewami.

W chwili, gdy to piszemy, mija w Krakowie obawa nieszczęścia, na jakie przez dwa dni zanosiło się, a które mogło przybrać rozmiary niemniejsze od wylewu Wisły i Rudawy z przed trzech lat.

Ale za to smutnie brzmią relacye z różnych okolic kraju, gdzie już zdążyły poczynić znaczne spustoszenia rzeki górskie, wystąpiwszy z brzegów i zalawszy wsie pobliskie, gdzieniegdzie miasta nawet.

Telegramy o klęsce powodzi nadchodzą jednocześnie z Galicyi wschodniej, jako też z zachodniej.

Zanim otrzymamy fotografie z obrazów katastrofy żywiołowej z innych, bardziej wylewami dotkniętych okolic kraju naszego, zamieszczamy illustracye powodzi w Przemyślu, gdzie, na szczęście, nie stała się ona do tej chwili tak groźną, jak gdzie indziej.

* * *

Korespondent nasz z Przemyśla, przesyłając nam fotografie z powodzi, donosi:

Woda zalała okoliczne wsie Przemyśla, jak Wilcza. Przekopania i t. d. W ostatniej musiano domy rozbierać, gdyż woda kilka brzegów, na których domy stoją, podryła.

W mieście, na Błoniu, w ul. Kopernika, Zasanie w bardzo wielu miejscach komunikacya odbywa się łódkami.

Domy p. Jarolima i p. Zimblera całkiem wodą zalane, tak że musiano się wyprowadzić nie tylko ze suteryn, ale i z parteru.

Przytulisko „Brata Alberta“ również we wodzie. Na załączonej illustracyi widać w głębi to schronisko zalane.



Fot. umyślnie dla „Nowości Illustrowanych“ Michał Todt w Przemyślu.
Powódź w Przemyślu: Most drewniany łączący Zasanie z miastem, który w tych dniach w czasie przyboru wody w Sanie runął z 20 ludźmi, pracującymi przy jego naprawie.

Dnia 7 b. m. o godz. 6 tej popołudniu raptownie woda w Sanie przybrała i uderzyła silnie w most drewniany, łączący Zasanie z miastem, skutkiem czego pracujący na moście ludzie przy naprawie tegoż, w liczbie 20 kilku wpadli wraz z mostem do Sanu i doznali lekkiego wstrząśnienia.

Szybka pomoc pionierów i rybaków zdołała ich uratować i przy życiu utrzymać.

W nocy o godz. 11. woda znów przybrała i resztę mostu około jednego filara zabrała.

Wogóle na Zasaniu we wszystkich piwnicach stoi woda.

Pionierzy silnie pracują, celem zapewnienia środków bezpieczeństwa.

Do chwili kiedy zamykamy numer, nienadeszły wieści o nieszczęśliwych przypadkach.



Dla „Nowości Illustrowanych“ fot. Michał Todt w Przemyślu.
Szkoła korpuśna: Grupa frekwentantów szkoły korpusu X., wraz z komendantem generałmajorem Keilerem, z okazyi ukończenia kursu w Przemyślu.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

13 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Tego samego dnia przybył zresztą do zamku nowy gość. Był to jakiś łysy pan z długą białą brodą. Brzydota jego przypomniała Ernie jej kata. Zdawało się jej, że to ten sam człowiek, który się nagle o jakie pięćdziesiąt lat postarzał. Ale nie interesowała się bardzo starym profesorem, tak samo, jak Ilona, z którą ów uczony — jak go w zamku nazywano — codziennie wyjeżdżał na dłuższe przejażdżki. Wprawdzie przychodzili zawsze oboje pytać jej, czy z nimi nie wyjedzie, jednakże Erna stale odmawiała. Wolała pozostać ze swą mleczną siostrą, której odstąpiła swój własny pokoik, a sama spała w drugiej, większej komnacie, do pokoiku przylegającej.

Pewnego dnia zapytała Kazia młodą hrabinę:

— Moja Erno, czyś ty nie słyszała jakiego gwizdania i dziwnego syku wśród ciszy nocnej?

Erna wpatrzyła się w nią zdziwiona.

— Nie, nigdy. Ale dlaczego się o to pytasz?

— Bo w ostatnich kilku nocach słyszałam zawsze około trzeciej nad ranem lekki, czysty gwizd. Mam bardzo lekki sen, więc zawsze mnie to budziło i zawsze napełniało dziwną trwogą, sama nie wiem czemu.

— Musiało ci się śnić poprostu - odparła Erna i więcej już o tem nie mówiono.

Wieczorem Erna siedziała jeszcze czas jakiś w pokoiku Kazi. Rozmawiali długo o dawnych, minionych czasach anielskiego dzieciństwa, potem ucałowały się serdecznie i Erna udała się na spoczynek.

Dziwna rzecz. Chociaż po przebytych cierpieniach była jeszcze srodze osłabioną, tej nocy jakoś zasnąć nie mogła. Opanowało ją dziwne jakieś przeczucie grożącego niebezpieczeństwa, przeczucie tak silne, chociaż nieuświadomione, że powiek zmrużyć nie mogła. Mimowoli przyszło jej na myśl opowiadanie Kazi o dziwnem gwizdaniu jakie miała słyszeć ubiegłej nocy. Cóż to mogło, być?

— Śniło jej się pewnie! — myślała i zamknęła oczy, chcąc się zmusić do spania.

Na polu huczała burza, grube płaty rozmokłego śniegu uderzały co chwila o okna. Naraz z pośród tej zmięszanej powodzi szmerów przedarł się ku niej dziki, krew ścinający w żyłach śmiertelny krzyk kobiecy. Erna odrazu poznała po głosie czyj to był krzyk i w tej chwili wyskoczyła z łóżka. Drżąc z trwogi zarzuciła na siebie szybko jakieś okrycie i rzuciła się do sypialni Kazi. Stanąwszy w drzwiach, zatrzymała się na chwilkę, bo zdało jej się, że słyszy również jakiś cichy gwizd, takisam, o jakim wczoraj mówiła Kazia, a w kilka sekund później dobiegł jej uszu dziwny jakiś szmer, jakby trzask zamykanego prędko metalowego naczynia.

Drzwi do pokoju Kazi były prawie otwarte. Erna stanęła na kurytarzu, czekając z drżeniem, jaki widok przedstawi się jej oczom. W tej samej chwili w świetle nocnej lampki ukazała się Kazia, blada, jak chusta, z rękoma załamanemi od bólu, chwiejąc się, jak pijana. Trzesąc się formalnie z bólu i trwogi chwyciła ją Erna w ramiona.

— Na miłość Boską! Kaziu, powiedz co, odezwij się, powiedz choć słowo, co się stało? — mówiła do niej.

Ale właśnie w tej chwili Kazię siły opuściły, bo nagle zachwiała się, kolana się pod nią ugięły, tak, że runęła na ziemię, wijąc się z bólu, który szarpał wszystkimi jej członkami.

— Kaziu! Kaziu! — na Boga! — wołała Erna, sądząc, że nieszczęsna nie poznała jej wcale. Wtem z piersi Kazi wydarł się straszliwy krzyk a potem słowa, które długo jeszcze musiały brzmieć w uszach Erny:

— Boże! — Erno! — To był — spisek — zbrodniczy — spisek! — chciała widocznie mówić jeszcze coś więcej, ale usta wykrzywił jej spazmatyczny skurcz, który jej gardło zatkał, tak, że tylko ręką wskazała na przyległy pokój, jakby tam szukała winowajcy i zbrodniarza.

Erna, oniemiała z przerażenia, nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć, chciała właśnie zawołać o pomoc, kiedy naraz stary profesor, który jako gość przebywał teraz w zamku, zjawił się na kurytarzu i aż wrzasnął ze strachu, zobaczywszy Kazię.

— Na miłość Boską, ratuj pan ją! — zawołała Erna zupełnie bezradna — toż ona mi w rękach umiera!

Starowina pochylił się nad leżącą. Erna tymczasem pobiegła do swego pokoju i zadzwoniła na służbę, która miała zawołać lekarza. Ale to wszystko nic nie pomogło. Zaniesiono biedną dziewczynę do łóżka, gdzie wśród straszliwych kurczów i boleści w kilka chwil skonała, nie odzyskawszy już przytomności.

Erna była wprost zrozpaczona. Nie mogła pojąć, że ta Kazia, wczoraj jeszcze hoża i zdrowa, jak żywa personifikacya życia, dzisiaj już nie żyje.

Stary profesor twierdził, że biedaczka umarła na udar sercowy, ale to nie uspokoiło Erny. Kazała zawołać lekarza ze stolicy, jednego z najzdolniejszych, ale ten również nie umiał nic innego powiedzieć. Pochowano więc biedaczkę, nie zwracając prawie uwagi na to, że młoda hrabina aż zachorowała z przygnębienia i smutku po stracie jedynej życzliwej duszy, po stracie swej kochanej siostry mlecznej.

W zamku tymczasem nic się na pozór nie zmieniło, wszystko szło dawnym trybem. Hrabia wyjeżdżał codziennie z Iloną na przejażdżki, stary profesor całymi dniami przesiadywał w bibliotece, a Erna codziennie szła na mogiłę Kazi, aby ją ozdobić kwiatami, bo właśnie zawitała wiosna i całą ziemię okryła kobiercem kwiecia i zieleni. Blada twarzyczka Erny wydłużyła się i zbladła jeszcze bardziej, tak, że cała jej postać miała na sobie cechę jakiejś powiewności i nadziemskości. Całemi godzinami siedziała przy oknie, zapatrzona w siniejącą dal, nie ruszając się, jakby jakaś z marmuru wykuta postać anioła smutku i tęsknoty. Siedziała, marząc o zaziemskich światach, o blaskach, jakie schodzą na duszę w godzinę czaru, w godzinie błękitnego zadumania. Czasami jednak myśl jej wracała na ziemię, serce wzbierało bólem, rodził się w tej smutnej duszy dziecka cichy bunt.

— Dlaczego mi Bóg zabiera wszystkich, których kocham? — myślała. I znów wpatrywała się w dal, goniąc oczyma widziadła przeszłości.

Pewnego wieczora przyszła do niej służąca.

— Łaskawa pani — rzekła — w sypialni pani rozbiło się okno, prawdopodobnie burza uderzyła tak silnie, że szyby wyleciały. Wobec tego, gdzie pani życzy sobie obrać sypialnię?

— W mojej dawnej sypialni — odparła Erna zupełnie obojętnie.

— W tej samej, w której umarła Kazia? — spytało dziewczę przestraszone, bo zagadkowa śmierć mlecznej siostry Erny wywołała wśród służby najrozmaitsze przypuszczenia.

— W tej samej — odparła hrabina. — A może sądzisz, że się boję — chociażby mi się nawet ukazała — ciągnęła dalej, jakby śniąc — to przecież jej bym się nie bała, bo ona mi była tak droga, taka miła!

Pokojówka wyszła, aby posłać łóżko. Potrząsła głową i mówiła do siebie:

— Szkoda pięknej pani, że się tak ciągle zamyśla. Ale to ciekawe, że ona ani krzty niepodobna do swego brata, do naszego hrabiego.

Erna bowiem uchodziła wśród służby za siostrę hrabiego, która po stracie męża popadła w melancholię.

Jak zwykle, tak i dzisiaj, Erna kazała sobie przynieść posiłek do swego pokoju, poczem zaraz udała się do sypialni, chcąc się udać na spoczynek. Położyła się do łóżka i z otwartemi oczyma marzyła o tych wszystkich, których kochała.

Wtem przyszła jej na myśl Kazia i jej straszliwa śmierć. Nie wiedziała dlaczego, ale w ża den sposób nie mogła uwierzyć w to, aby ta dziewczyna zmarła naturalną śmiercią, chociaż jej tak dwóch lekarzy powiedziało.

Zapatrzyła się w mrok i znowu zasnąć nie mogła, bo przytłoczyły jej serce kamieniem posępne wspomnienia.

Cisza panowała naokół, majestatyczna cisza wiośnianej nocy. Burze, które przez kilka dni poprzednich szalały, uspokoiły się; nad światem rozpiął skrzydła spokój, poniekąd graniczący z martwotą.

Wtem zaszło coś zgoła niespodziewanego, coś strasznego, co Ernie krew w żyłach ścięło, tak, że jej włosy ze strachu stanęły. — Tuż, nad swoją głową, usłyszała taki sam gwizd i syk, o jakim jej opowiadała Kazia, syk, który poprzedził śmierć nieszczęsnego dziewczęcia.

ROZDZI[illegible] XXIII.

Tajemnicza opiekunka w strasznym młynie.

Musimy się cofnąć nieco w tył, aż do tego wieczora, kiedy Huhle uciekł razem z Erną ze strasznego młyna. Stara Wildingowa z trudem podniosła się z ziemi, ale zapomniała o swoich bólach i pobiegła za uchodzącymi. Noc się zaraz rozjaśniła, bo na niebie ukazał się księżyc, który miłem światłem ozłocił całe miasto. Stara wiedźma, widząc, że nie zdoła dogonić Huhlego, przypomniała sobie dane synowi przyrzeczenie i skierowała swe kroki ku domowi Stürmerów.

Po jej wyjściu zapanowała w starym młynie znowu przeraźliwa cisza, tem gorsza, że każdego musiała przejąć obawą. Bo w starym młynie czuć było zawsze jakiś zapach trupi, co robiło wrażenie, że się człowiek znajduje nie w domu mieszkalnym, ale w kostnicy cmentarnej. Choćby na polu panował nie wiedzieć jaki upał, po ścianach starego młyna spływała zawsze kroplami woda. Bo też była tam wogóle straszna wilgoć, której przyczyny szukać można było choćby w tem, że dom stał tuż przy kanale. Gdy noc zapadła i cisza zaległa miasto, słychać tam było dziwne jakieś głosy, jakby łkania i zawodzenia, tak, że włosy stawały na głowie, gdy się to słyszało i mimowoli każdy musiał sobie zadać pytanie, jak stara Wildingowa nie boi się w tej ruderze mieszkać sama jedna. Bo bądź co bądź, ale ona przecie była także kobietą.

Minęła północ, a starej jeszcze nie było z powrotem. Mimo to jednak zdawało się, że na górze otwarły się jakieś drzwi, a po chwili ozwał się szelest kroków, lekkich kroków, jakby kto schodził na dół po schodach.

Któż to był? Człowiek czy duch?

Powoli wynurzała się z ciemności jakaś postać ludzka, trzymająca światło w wychudłej, zwiędłej ręce, a światło to opromieniało łagodnym blaskiem ciekawą twarz.

Czarne jej oczy zapadłe były w głąb, policzki wychudzone i wydłużone były trupioblade, z kształtnej głowy zwieszały się czarną, jak aksamit, falą, wspaniałe włosy, aż ku ziemi prawie, odbijając od białej, długiej, do koszuli podobnej sukni, jaką ta postać dziwna miała na sobie.

Cóż to za upiór, ta kobieta?

Czyżby sąsiedzi mieli racyę, twierdząc, że duch córki starej Wildingowej błąka się po młynie, bo nie może znaleźć spokoju nawet w grobie i z załamanemi rękoma opłakuje swego zamordowanego kochanka?

Zeszła po schodach na dół i stanęła nagle. Rękę przyłożyła do serca, jakby chciała stłumić jego bicie i słuchała przez chwilę. Widocznie uderzył ją jakiś dziwny odgłos. Podeszła parę kroków dalej i znowu stanęła, nasłuchując. Stała tuż przy piwnicy i naraz ręka jej, w której trzymała światło, zaczęła silnie drżeć.

Rzeczywiście, mogła się była przestraszyć, bo z piwnicy dochodziły coraz to głośniejsze jęki.

Naraz kobieta się zwróciła, twarz jej ściągła się dzikim wyrazem, a oczy zabłysły nienawistnym ogniem. Zacisnęła pięść i zaczęła grozić nią w kierunku izby starej Wildingowej, poczem szybko się zdecydowawszy, zeszła po schodkach do piwnicy.

— Czy tam jest kto? — zapytała dźwięcznym, sympatycznym głosem.

Zamiast odpowiedzi usłyszała jeno dłuższy, ale zupełnie wyraźny jęk. Ale teraz zdawało się, że już przynajmniej wie, skąd ten jęk pochodzi.

Szybko pobiegła do obok leżącej komórki, w której wisiał klucz, zdjęła go, uklękła, wyjęła cegłę z ziemi i zobaczyła zamek. Drżąc cała, włożyła doń klucz i otwarła.

Ostrożnie poświeciła nad zagłębieniem. Klęczała tuż obok ruchomej podłogi, przez którą detektyw Stein wpadł do pułapki. I teraz krzyknęła głośno. Pod ścianą, może w odległości pięciu kroków, zobaczyła twarz jakiegoś mężczyzny, z wysiłkiem trzymającego się nad wodą. Ręką nieznajomy trzymał się wystającego ze ściany haka i temu tylko chyba zawdzięczał, że nie utonął dotychczas.

— Boże, dzięki ci za to — ozwała się tajemnicza kobieta — żeś mi pozwolił zapobiedz zbrodni, którą ta szatanica, która się zowie moją matką, popełnić chciała!

— — — — — — — — — — — —

Maleńki, wąski pokoik przedstawił się oczom detektywa Steina, kiedy odzyskał przytomność. Obłąkanym wzrokiem wodził biedak po tej skrytce, w której oprócz stołu, stołka i łóżka, na którem leżał, nie było nic więcej. Wąska smuga światła przedzierała się przez małe, pajęczą przędzą zasnute okienko.

Detektyw chwycił się za czoło. Zdaw[illegible] mu się, że śni, kiedy zauważył, że ma głow[illegible] obwiązaną płóciennym bandażem. Uczuł na nowo silny ból, który mu pamięć przywrócił.

Pamiętał — stara wiedźma przygotowała nań pułapkę, godząc na jego życie. W dole, do którego wpadł, znalazł jedwabną chusteczkę i kiedy o niej myślał, zaszumiała wokół niego woda, zimna, przejmująca dreszczem, woda, która mu miała przynieść śmierć. Z całą energią podniósł się, chociaż osłabiony, jak mógł najwyżej, uczepił się wreszcie wystającego z jednej ściany haka, a tymczasem woda podnosiła się z każdą sekundą, dosięgała mu już ramion, głowy, zalewała go całego, tak, że już się przygotowywał na śmierć, która za chwilę musiała by go uwolnić z tej męczarni, gdy w tem nagle uczuł, że woda jakoby odrobinę opadła, tak, że mógł przynajmniej swobodnie oddychać. Ale czy to był dla niego ratunek? Czuł przecie, że go już siły opuszczają, że lada chwila miał opaść w wodę, bo nie zdoła się na tym haku utrzymać. Jeszcze chwila czekania, straszna, potworna grozą oczekiwania śmierci — już miał puścić hak, już zdecydował się skończyć, kiedy naraz usłyszał jakiś szmer — pokrywę dołu na nowo otwarto.

Czyżby znowu przyszła ta szatańska wiedźma ze swoim synem, aby się przekonać, czy jej najzaciętszy wróg już nie żyje? — Ale nie mógł już rozumować — myśli mu się mąciły. Czuł tylko, jak ktoś chwycił go za rękę i wyciągnął z wody — a teraz, zbudziwszy się z omdlenia znalazł się w tym wąskim pokoiku.

Gdzież był i skąd się tu wziął? Kto go tu przyniósł?

Powtarzał sobie ustawicznie to pytanie, ale nie mógł na nie znaleść odpowiedzi. Zdawało mu się wprawdzie, że przypomina sobie, iż jakaś smukła kobieta z czarnymi włosami i jarzącemi jak węgle oczyma, pochylała się nad nim troskliwie jak matka, ale to mogło przecie być wytworem jego rozgorączkowanej febrą wyobraźni.

Wargi go paliły, w gardle czuł ogień prawdziwy, zobaczywszy więc na stoliku karafkę z wodą, podniósł się, chcąc ugasić pragnienie. Wtem wzrok jego padł na białą kartkę, leżącą między owocami a pieczywem. Chwycił ją i przy słabem świetle odczytał powoli następujące słowa:

„Niech pan nie myśli o tem, kto pana wyratował — faktem jest, żeś pan ocalony. Proszę nie wstawać, aż pan się poczuje zupełnie zdrowym i silnym; ja panu zawsze, kiedy pan śpisz, przyniosę pokarm i napój. W dniu, w którym pan zechcesz opuścić straszny młyn, napisz pan kartkę i donieś mi pan o tem. Ja sama pana w nocy wyprowadzę. Niech pan jednak ma się na baczności, niech pan, broń Boże, nie piśnie nawet, choćby się nie wiem co działo. Gdyby pana znaleziono, byłbyś pan zgubiony, a ja wątpię, czyby mi się udało uratować pana po raz drugi.

Pańska opiekunka“.

— Opiekunka w strasznym młynie! — szeptał detektyw, nie dowierzając. — Cóż to za istota!?

O ile mu było wiadomo, to w strasznym młynie mieszkała jeno sama stara Wildingowa. Rozglądnął się naokół, ale jakoś w tym małym pokoiku nigdzie nie zauważył drzwi. Nie chciał pukać do ściany, bo, stosownie do polecenia, nie chciał wszczynać szmeru, położył się więc na tapczanie, nie ażeby spać, ale żeby czekać na swą tajemniczą opiekunkę.

Zapadł już mrok, a detektyw Stein leżał ciągle z otwartemi oczyma, z stanowczym zamiarem czuwania choćby przez całą noc. Postanowił sobie, że musi zobaczyć swą wybawicielkę i powiedzieć jej, jak jej jest wdzięczny. Kiedy jednak noc co raz głębsza zapadała, opanowała go taka niezmożona chętka do spania, że nie był w stanie jej się oprzeć. Powieki powoli mu się zamknęły, a po chwili głęboki, miarowy oddech świadczył już, że śpi. Jak długo spał, nie wiedział, ale naraz zbudził go jakiś dziwny szmer, jakby kto drzwi otwierał. Podniósł się odrazu, ale z powodu głuchej nocy nie mógł nikogo zobaczyć.

— Czy tu jest kto? — zapytał cicho.

Nie było odpowiedzi, ale detektyw nie mógł się pozbyć myśli, że jednak ktoś jest przy nim, więc aż wstrzymał oddech i słuchał. Wprawne jego ucho nie zawiodło go. Usłyszał cichy, przytłumiony oddech drugiego jakiegoś człowieka.

— Tu jest ktoś! — zaczął na nowo. — Jeżeli pani jest moją wybawicielką, to błagam panią o jedno choćby słowo!

Znowu głucha cisza. Wtem uczuł, że ktoś koło niego chce przebiedz, tuż koło tapczanu, więc wyciągnął ręce przed siebie. Rozległ się przytłumiony krzyk — Stein trzymał w ręku wychudłą jakąś kobietę.

— Niech mi pani powie — prosił — kto pani jesteś i jak się to stało, że mnie pani wyratowała?

Widział kontury tej pociągłej twarzy kobiecej, które nieraz we śnie przewijały się przed jego oczyma, widział czarne oczy, które nań teraz patrzyły.

— Niech mnie pan o to nie pyta! — zabrzmiała cicha odpowiedź — nie mogę i nie chcę panu tego powiedzieć. Niech mnie pan puści, a jeśli się pan czujesz zdrowym, to ja tu w nocy przyjdę i sama pana wyprowadzę.

Stein wytężył wzrok, aby nim przebić ciemności. Nie mógł przezwyciężyć ciekawości dowiedzenia się, czy jego opiekunka była młodą i ładną, czy brzydką i starą.

Ale oprócz słabych konturów jej twarzy, nic więcej ujrzeć nie zdołał. Sądząc po głosie, musiała to być jeszcze młoda kobieta.

— To niechże mi pani przynajmniej powie, czy i panią tu przemocą wprowadzono i trzymano w niewoli?



...Zobaczyła twarz jakiegoś mężczyzny, z wysiłkiem trzymającego się nad wodą. Ręką nieznajomy trzymał się wystającego ze ściany haka i temu tylko chyba zawdzięczał, że nie utonął dotychczas.

— Nie, nie! — odparła zagadkowa nieznajoma — siedzę tutaj zupełnie dobrowolnie i proszę pana usilnie, niech pan mnie o nic nie pyta, niech mnie pan nie bada i niech pan mnie nie śledzi, choćby się nie wiem co stało, bo toby mi tylko zaszkodzić mogło.

Stein potrząsł głową, ale nie mógł zrozumieć tych tajemniczych zagadek.

— Nie przyrzekam pani niczego, bo wiem, że tak czy tak muszę panią śledzić. Czuję to, że pani jesteś szlachetną istotą i że istnieje jakaś inna przyczyna, która sprawia, iż pani przebywa w tem straszliwem miejscu. Dzisiaj już czuję się na siłach, dzisiaj mogę opuścić straszny młyn i błagam panią, niech pani wraz ze mną uchodzi.

— Nie trudź się pan — brzmiała smutna odpowiedź — nie wyjdę stąd nigdy, chyba w trumnie, kiedy mnie na cmentarz wyniosą na wieczny spoczynek. Nie pytaj pan, dlaczego, bo tego panu nie mogę powiedzieć. — Tu są pańskie rzeczy; na razie wychodzę na pole i powracam za chwilę, aby pana stąd wyprowadzić.

Za chwilkę detektyw Stein został sam. Jak we śnie ubrał się i właśnie brał do ręki kapelusz kiedy nieznajoma weszła z powrotem. Jeżeli jednak sądził, że, sprowadzając go na dół po schodach, tajemnicza opiekunka przynajmniej światło jakie zapali, bo schody były wąskie, strome i ciemne, to mylił się. Nieznajoma wzięła go za rękę i szepnęła:

— Trzymaj się pan ściany, schody są strome.

Kiedy zeszli na dół, otworzyła jakąś małą furtkę.

— Bądź pan zdrów — rzekła jeszcze, a głos jej drżał ze wzruszenia — jeżeli mi pan chce okazać swą wdzięczność, to niech pan nie podejmuje żadnych kroków przeciw właścicielce strasznego młyna — bo to moja matka.

Klucz zgrzytnął w zamku i zanim detektyw zdobył się na odpowiedź, drzwi już zostały zamknięte, a on stał na ulicy.

— Śnię, czy marzę? — szepnął, chwytając się za głowę — to przecież być nie może! Ta szlachetna dziewczyna, która mnie od śmierci ocaliła, miałaby być córką... to niepodobne! I musiałem przyrzec, że starej wiedźmie nic nie zrobię!

Stał chwilę jak oszołomiony, patrząc na małą furtkę, za którą znikła jego opiekunka. Zdało mu się, że słyszy jakieś kroki, więc stosownie do polecenia swej wybawicielki, aby jak najprędzej odszedł od strasznego młyna, pędem prawie puścił się w głąb ulicy. Jakże serdecznie dziękował teraz nieznajomej za ocalenie — teraz mógł znowu oddać się z całą energią swemu powołaniu. Byłoby mu okropnie umierać teraz przez chytrość starej wiedźmy, właśnie teraz, kiedy tyle rzeczy czekało na niego.

Na drugi dzień rano zapukał do jego pokoju jego przyjaciel, również tajny ajent policyjny, dla którego Stein był wzorem i ideałem. Paliła go ciekawość dowiedzenia się, gdzie Stein tak długo przebywał, ale detektyw milczał, jak zaklęty. Był jeszcze zbyt osłabionym po tylu przejściach, postanowił więc nie opuszczać łóżka i dopiero na drugi dzień zabrać się do roboty. Paulsen — tak się nazywał przyjaciel Steina — siedział przez cały dzień u niego, chociaż obaj nie wiele mówili.

Na polu rozszalała się tymczasem burza. Wicher dął przeraźliwy, aż szyby drżały, a ogień na kominku chwiał się i syczał, jak umierający. Stein leżał na łóżku, marząc o tem, jak dobrze jednak mieć swoje ognisko, ciepłe, zaciszne i przebywać w niem wtedy, kiedy na polu szaleje wichura i deszcz jak opętaniec świszcze. Przyjaciel jego zatapiał się tymczasem w jednej ze wspaniałych opowieści Vernego. Naraz zerwał się i zwracając się do Steina, rzekł:

— Słuchajno, czy teraz kto nie dzwonił?

— Jeśli to jaki człowiek z interesem, to sprawa musi być ważna. Na taki czas niktby się nie wybierał w drogę, gdyby go nie nagliła ważna potrzeba.

W tej chwili zapukano do drzwi. Stein wyciągnął rękę, aby światło lampy skierować na stołek, na którym miał usiąść nowoprzybyły, poczem zawołał:

— Proszę!.

Do pokoju weszła młoda dama w żałobie. Zdjęła czarną woalkę z twarzy i zdumiona spojrzała na Steina, który w tym momencie ją rozpoznał i rzekł:

— Pani wybaczy — zanadto mnie zaniepokoił widok pani u mnie. Jeżeli się nie mylę, to mam zaszczyt mówić z hrabiną Pardua?

— Tak jest, panie Stein, przychodzę do pana z prośbą o radę i opiekę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowi ministrowie.

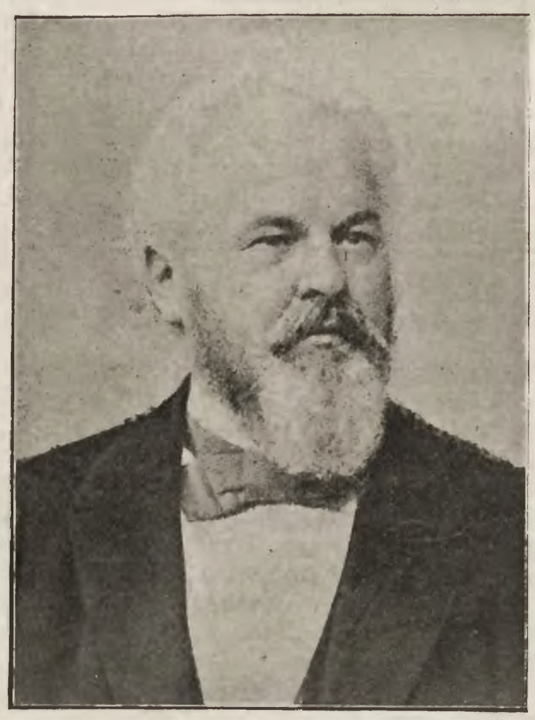
Na czele nowego gabinetu w Austryi stanął jak wiadomo, baron Włodzimierz Maksymilian Beck, którego portret zamieściliśmy razem z portretami ministrów Dzieduszyckiego, Korytowskiego, Schönaicha, Auersperga, Bienertha i Marcheta w poprzednim numerze naszego pisma. Dzisiaj podajemy fotografie jeszcze pięciu ministrów, wchodzących w skład gabinetu barona Becka.

Nowy minister sprawiedliwości dr. Franciszek Klein, ur. się w r. 1854, w r. 1878 uzyskał doktorat prawa, przez kilka lat poświęcał się adwokaturze, a równocześnie był docentem, później profesorem nadzwyczajnym prawa rzymskiego w Uniwersytecie wiedeńskim. W r. 1886 powołany został jako sekretarz do Ministerstwa sprawiedliwości. W r. 1893 przedłożono w parlamencie opracowany przezeń projekt nowej procedury cywilnej. Po uchwaleniu tej ustawy, autor mianowany został szefem sekcyi. Od 31 grudnia 1904 był kierownikiem ministerstwa sprawiedliwości.



Nowi ministrowie w Austryi: Dr. Juliusz Derschatta, minister kolei.

Minister handlu, dr. Józef Forszt, urodził się w roku 1850 w czeskiej miejscowości Klach. Studya prawnicze odbywał na Uniwersytecie praskim, następnie brał udział w okupacyi Bośni, jako oficer rezerwowy. Od roku 1874 do 1883 był współpracownikiem „Narodnich Listów“. Równocześnie wstąpił do służby w praskiej Izbie handlowej. W roku 1893 wybrany posłem do Rady państwa z praskiej Izby handlowej; w Sejmie czeskim reprezentował okręg litomierzycki. W klubie młodoczeskim zajmował wybitne stanowisko. Za gabinetu Claryego, z powodu ostrej opozycyi w klubie, zmuszono go do wystąpienia z klubu czeskiego. Po upadku gabinetu Claryego wstąpił ponownie do klubu, ale już w r. 1900 zostawszy na nowo wybranym do parlamentu, ściągnął na siebie zarzut, że nie szanuje karności klubowej. — Mimo oporu Niemców został zamianowany w listopadzie r. z. szefem sekcyi w ministerstwie kolei, gdzie kierował departamentem taryfowym. Równocześnie ustąpił z parlamentu i Sejmu.



Nowi ministrowie w Austryi: Dr. Henryk Prade, minister-rodak Niemeic.

Minister kolei, dr. Juliusz Derschatta urodził się w roku 1852 w Zadarze. Studya ukończył w Grazu, poczem poświęcił się adwokaturze. Brał żywy udział w ruchu narodowo niemieckim w Styryi. W roku 1885 wybrano go w Grazu do parlamentu, gdzie utworzył osobny klub narodowo-niemiecki wraz z posłem Steinwenderem. Dr Derschatta występował namiętnie przeciwko prawom Słoweńców w Karyntyi i jego głównie zabiegom zawdzięczają oni przeniesienie gimnazyum z Cylei do Marburga. W roku 1905 po upadku Tiszy postawił znany wniosek, aby wybrano komisyę, mającą zbadać przyszły stosunek Węgier do Austryi.

Czeski minister rodak, dr Fryderyk Pacák liczy lat 60. Urodzony w Belohradzie, odbył studya gimnazyalne w Krems, a uniwersyteckie rozpoczął



Nowi ministrowie w Austryi: Dr. Franciszek Klein, minister sprawiedliwości.

na wydziale prawnym w Pradze. Za gabinetu Auersperg-Herbst oskarżony o zdradę stanu, przebył trzy lata w więzieniu w Pradze razem z dziennikarzami czeskimi Józefem Barakiem, Karolem Tumą i Czernym. Wskutek ogólnej amnestyi ułaskawiony został w r. 1871 za rządów hr. Hohenwartha. Lata więzienne spożytkował dla studyów języków i ekonomii politycznej. Wstąpiwszy do redakcyi „Narodnich listów“, pracował w nich do roku 1875. W tym czasie zamieścił w pismach fachowych szereg rozpraw ekonomicznych. Przetłomaczył też „Il principe“ Macchiavella.

Ukończywszy studya prawnicze, promowany na doktora, otworzył kancelaryę adwokacką w Kutnahorze. Jako prawnik pracował z Riehlem nad komentarzem kodeksu cywilnego, karnego i postępowania konkursowego. W r. 1888 ogłosił broszurę polityczną, zwracającą się przeciw Staroczechom i propagującą utworzenie wolnomyślnej partyi młodoczeskiej. Wziąwszy czynny udział w życiu politycznem, wybrany został w Czasławiu do Sejmu i do Rady państwa. W dyskusyi budżetowej r. 1895 przemawiał za ugodą czesko-niemiecką i wydał broszurę p. t. „Zarys ugody w sprawach językowych w Czechach“.

Niemiecki minister-rodak, Henryk Prade, liczy lat 53, jest z zawodu przemysłowcem; pracował w przędzalni ojca, później został urzędnikiem Towarzystwa ubezpieczeń w Libercu. Do Rady państwa wszedł w r. 1885 jako poseł m. Liberca. Należy do wybitnych członków stronnictwa niemiecko narodowego. W r. 1900 został wiceprezydentem Izby posłów. Na tem stanowisku naraził się niejednokrotnie na zatarg z radykałami niemieckimi i ostatecznie d. 17 października 1901 ustąpił z wiceprezydentury.

Polski żyd ministrem włoskim.

W nowym gabinecie włoskim Giolittiego zasiadł pomiędzy innymi jako minister poczt i telegrafów p. Karol Szancer, którego fotografię zamieszczamy obok. Osobistość to co najmniej ciekawa, tem ciekawsza, że p. Szancer czuje się Polakiem. Pisma wiedeńskie, opierając się na tem, że Szancer urodził się w Wiedniu, rozgłosiły niedawno, iż nowy minister włoski jest Niemcem. Tymczasem okazało się, że sprawa ma się trochę inaczej.

Rodzina Karola Szancera pochodzi z Galicyi. Dziad ministra, właściciel klucza tłumackiego, założył w Tłumaczu fabrykę cukru, zaś stryj jego przyczynił się znacznie do podniesienia galicyjskiego przemysłu, budując w Tarnowie i w Bochni młyny parowe. Ojciec dzisiejszego ministra wyjechał do Wiednia, gdzie przez długie lata był



Nowi ministrowie w Austryi: Dr. Józef Forszt, minister handlu.

adwokatem. Karol Szancer w Wiedniu nie bawił długo, bo wraz z rodziną przeniósł się do Tryestu, poczem wyjechał do Rzymu, gdzie kończył nauki. Po zdaniu egzaminów i skończeniu uniwersytetu przyjął rzymskie obywatelstwo, poczem dzięki Cezarowi Correntemu otrzymał posadę referendaryusza w Radzie państwa.

Przed czterema laty został deputowanym w Aversa pod Neapolem, przed kilku miesiącami mianowano go szefem sekcyi w ministerstwie spraw wewnętrznych, aż wreszcie upadek gabinetu Sonnina otworzył mu podwoje większych jeszcze godności, bo nowy premier powierzył mu tekę ministerstwa poczt i telegrafów. Bądź co bądź karyera to bardzo szybka; zawdzięcza ją p. Szancer jedynie swoim zdolnościom administracyjnym.

Pomimo, że od lat tylu rodzina Szancerów tuła się po obczyźnie, nie przestała jednak czuć i myśleć po polsku. Najlepszym dowodem, że nowy minister czuje się Polakiem, jest fakt, że do swych krewnych w Galicyi pisze zawsze listy w języku polskim.



Nowi ministrowie w Austryi: Dr. Fryderyk Pacak, minister-rodak dla Czech.

Zmiany w Kole polskiem w Wiedniu.

Jak Czytelnikom wiadomo, dotychczasowy regimentarz Koła polskiego w Wiedniu, hr. Wojciech Dzieduszycki, świeżo mianowany został ministrem dla Galicyi w gabinecie barona Becka. Koło polskie pozostało więc naraz bez wodza i to wodza, bądź co bądź, zdolnego, wytrawnego polityka i dyplomaty, którego tak łatwo nie da się zastąpić.



Zmiany w Kole Polskiem w Wiedniu: Były wiceprezydent galicyjskiej Rady szkolnej krajowej, profesor dr. Michał Bobrzyński, wybrany pierwszym wiceprezesem Koła Polskiego.

W ubiegłą sobotę odbyło Koło polskie specyalne posiedzenie, poświęcone wyborowi prezydyum. Kandydatów na prezesa było dwóch, Dawid Abrahamowicz i dr Michał Bobrzyński. Pierwszy znany jest jako jeden z tęższych parlamentarzystów, drugi był przez szereg lat wiceprezydentem Rady szkolnej krajowej i na tem stanowisku dał się poznać całemu społeczeństwu w Galicyi. Jednomyślną prawie uchwałą Koła — 43 głosami na 50 głosujących — buława regimentarska przeszła w ręce posła Abrahamowicza, który wybór przyjął i staje obecnie na czele Koła polskiego.

Nowy regimentarz obejmuje ster Koła w warunkach bardzo trudnych i ciężkich. Jak się wywiąże z położonego w nim zaufania kolegów-posłów, najbliższa przyszłość pokaże. Stanowisko prezesa Koła polskiego różni się i wystaje nad miarę przywódców innych stronnictw; zasługa to dawnych prezesów, którzy wysokiem uzdolnieniem i usilną pracą wynieśli prezesurę Koła na tak wysokie stanowisko. Przyznał to sam nowy regimentarz, dając tem dowód, że jest świadom włożonego na swe barki ciężaru.

* * *

Po wyborze prezesa przystąpiono do wyboru pierwszego wiceprezesa. Oddano 50 głosów, z których 47 padło na dra Michała Bobrzyńskiego. Był to więc wybór również prawie zupełnie jednomyślny. Dr Bobrzyński jednak, podziękowawszy za wybór, oświadczył początkowo, że nie może przyjąć tej zaszczytnej godności.

„Wybór ten — mówił dr Bobrzyński — wyrywa mnie z tego toku myśli i prac przedsięwziętych, które obrałem sobie za cel życia. Postanowiłem służyć jako szeregowiec, nie sięgać po godności i nie przyjmować odpowiedzialności może trudnych do spełnienia“.

Ulegając namowom i prośbom posłów, zdecydował się wreszcie dr Bobrzyński przyjąć wybór, zapewniwszy posłów, że będzie się starał sprostać zadaniu, o ile będzie mógł.

Koło polskie, stanowiące w parlamencie wiedeńskim klub najliczniejszy i najkarniejszy, stanęło więc pod nową buławą.



Polski żyd ministrem włoskim: Wnuk właściciela klucza tłumackiego w Galicyi, Karol Szancer, który został niedawno ministrem poczt i telegrafów we Włoszech.

Kierunek zasadniczy prac Koła nie zmieni się jednak zupełnie. Nowe prezydyum ożywione jest bowiem temi samemi poglądami i myślami, co i prezydyum poprzednie.



Anarchiści przy robocie: Autentyczna fotografia zamachu na hiszpańską parę królewską w Madrycie na uroczystościach weselnych; zdjęcie migawkowe, dokonane w kilkanaście sekund po wybuchu bomby, rzuconej przez anarchistę Morala pod karetę ślubną króla Alfonsa XIII i królowej Eny.



Anarchiści przy robocie: Dom pod l. 88. przy ulicy Calle Mayo w Madrycie, własność królowej-matki Krystyny, skąd z balkonu (1) rzucił anarchista Moral bombę w bukiecie kwiatów na karetę ślubną króla hiszpańskiego; poniżej na balkonie (3) zabiły odłamki bomby margrabinę de Toloza i jej córkę.

Anarchiści przy robocie.

Zamach na królewską parę hiszpańską przestał być tajemnicą: sprawca został wykryty i sam przez samobójstwo stwierdził trafność podejrzeń. Mimo to tło zamachu pozostaje groźne. Wprawdzie anarchiści hiszpańscy oświadczają, że chcieli zamordować króla Alfonsa ze specyalnego powodu, mianowicie, że przy sposobności swoich zaślubin nie ogłosił amnestyi. Jednakże to tylko pretekst, a faktyczną przyczyną jest wewnętrzny rozkład i nędza straszliwa Hiszpanii, które zrobiły z niej ojczyznę anarchistów i hodowlę zamachów. Anarchiści pałają specyalną nienawiścią do króla hiszpańskiego, ponieważ policya hiszpańska uprawia w więzieniach okrutne tortury.

O tem, gdzie i jak wybuch nastąpił, donieśliśmy przedtem, tu zaznaczamy więc, że było to zaledwie o paręset metrów od pałacu. Charakterystycznym jednak szczegółem jest, że przypadkowo istnieje fotografia zamachu, gdyż jeden z widzów, który znalazł miejsce w tym punkcie właśnie, przypadkowo w owej chwili, w kilkanaście sekund po eksplozyi pocisnął guzik aparatu i otrzymał w ten sposób momentalną fotografię o historycznem znaczeniu. Owóż ta fotografia wskazuje dokładnie miejsce, gdzie bomba padła a w konsekwencyi pozwala obliczyć z precyzyą, skąd ją rzucono. Podajemy dziś reprodukcyę tej fotografii, oraz podobiznę domu królowej matki, z którego rzucono bombę w bukiecie z balkonu.

Bomba, a właściwie dwie bomby rzucone zostały z balkonu czwartego piętra z wielką siłą i wielką precyzyą. Sprawca, który w chwili rzutu skaleczył się w rękę o stłuczoną tubę szklaną jednej z bomb, celował bukietem, w którym były bomby, w koronę, zdobiącą szczyt karety królewskiej, licząc, że jedna z bomb padnie przed powozem, a druga z tyłu. Jedna z bomb padła na swoje miejsce, mianowicie pod konie, druga zaś, jak wszystkie szczegóły wskazują, natrafiła po drodze na jakąś przeszkodę i wybuchła w powietrzu o 10 metrów nad ziemią. Wskazuje na to fakt, że ludzie na balkonie na tej wysokości zostali pozabijani, a front kamienicy został podziurawiony odłamkiem bomby, podczas gdy na ulicy od tej drugiej bomby nikt nie doznał żadnej szkody.

Sprawcą zamachu był Matteo Moral, syn fabrykanta z Sabadell, młodzieniec, który odbył studya w Niemczech, potem był komiwojażerem u ojca, a odziedziczywszy 10.000 pesetów, porzucił pracę i oddał się zupełnie anarchistom, z którymi już dawniej utrzymywał stosunki.

Najął on pokój w domu, z którego rzucono bombę, z drzwiami wychodzącemi wprost na ulicę, a z oknem i balkonem od ulicy. Prowadził życie bardzo uregulowane. Wychodził rano o 10 godzi-



Anarchiści przy robocie: Tak wyglądała w bukiecie bomba, którą anarchista Moral chciał zgładzić króla hiszpańskiego.

nie, powracał popołudniu już o 6 i nie przyjmował żadnych wizyt. Twierdził tylko, że bardzo lubiał kwiaty i codziennie kazał sobie kupować wielki bukiet.

W przeddzień zamachu kazał sobie kupić aż trzy bukiety, a kiedy służący zdziwił się, odpo-



Anarchiści przy robocie: Na miejscu katastrofy po zamachu anarchistycznym na króla hiszpańskiego: fotografia zdjęta po opróżnieniu ulicy Calle Mayor w Madrycie, gdzie pozostała jeszcze uszkodzona kareta królewska, a policya zajmuje się uprzątaniem zwłok ludzi i koni, zabitych eksplozyą bomby anarchisty Morala.

wiedział, że chce jeszcze i na powóz królewski, gdyż jest gorącym wielbicielem zasad monarchistycznych. Służący odpowiedział mu, że właśnie policya zabroniła wszelkiego rzucania bukietów, na co Moral oświadczył, że w takim razie da kwiaty krewnym, którzy przybędą do niego na uroczystość. Zresztą dał 30 pesetów gospodarzowi, od którego odnajmował pokój na przystrojenie okna. Mieszkające obok młode dziewczęta, które miały okno od podwórza, wpraszały się do niego, ale on odpowiedział, że będzie miał dość krewnych u siebie. Około południa w dzień ślubu królewskiego udał chorego i kazał sobie przynieść sody, przeciw boleściom żołądkowym. Położył się też w istocie na łóżku i zerwał się dopiero w chwili przejazdu orszaku ślubnego, a współpracownicy dziennika „Imparcial“ widzieli, jak z jego właśnie okna rzucono ogromny bukiet, co mogło było nie zwrócić uwagi, gdyż mimo zakazu policyi rzucano po drodze ustawicznie kwiatami na orszak.

Zaraz po wybuchu Matteo rzucił się natychmiast na schody i począł zbiegać. przeskakując po kilka stopni. Do dwóch sąsiadów, którzy właśnie biegli do góry, zawołał: „Pobiegnę zobaczyć co się stało!“, wypadł na ulicę i zniknął w dymie i zamieszaniu. W chwili potem policya otoczyła dom i zamknęła wszystkie wejścia, ale było zapóźno, sprawca na razie uszedł.

Nazajutrz gubernator cywilny Madrytu otrzymał wiadomość, że pewne indywiduum, którego rysopis zgadza się z opisem osoby, w której przypuszczają sprawcę zamachu na króla, odebrało sobie życie we wsi Torrejon de Ardor (w pobliżu Madrytu), w chwili, gdy aresztował go agent policyi. Samobójcę z Torrejon de Ardor, (dajemy jego podobiznę na marach) agnoskował jako anarchistę gospodarz, z którego domu rzucono bombę na orszak królewski. Moral zjawił się 2 b. m. u restauratora w Torrejon i pytał go, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Barcelony. Moral był bardzo przybity. Ponieważ miał rany na rękach, wzbudził podejrzenie restauratora, który przypomniał sobie rysopis sprawcy zamachu. Moral udał się następnie na dworzec, aby oczekiwać nadejścia pociągu. W drodze spotkał agenta policyi, który także powziął pewne podejrzenia i zażądał, aby Moral się wylegitymował. Ponieważ Moral tego nie uczynił, oświadczył mu agent, że go aresztuje. Agent szedł za nim 2 kroki w tyle. Moral nagle wydobył rewolwer, zastrzelił agenta, a natsępnie siebie.



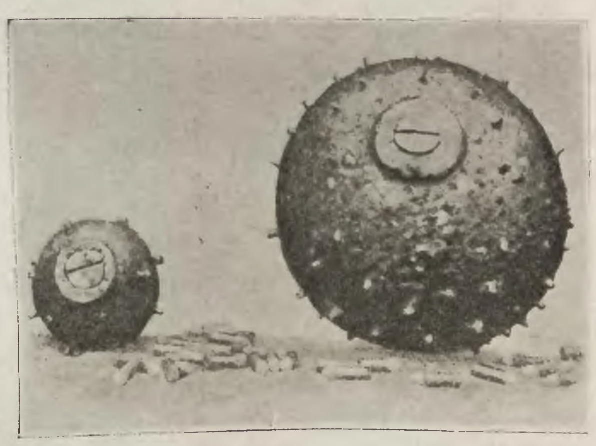
Anarchiści przy robocie: Zwłoki samobójcy Mattea Morala, rozgłośnego w tej chwili anarchisty, który w Madrycie dokonał zamachu na hiszpańską parę królewską.



Anarchiści przy robocie: Laboratoryum fabrykantów bomb; anarchista w swojej pracowni przygotowujący śmiercionośne maszyny piekielne, do zamachu przeznaczone.

Drętwica karku w Warszawie.

Pojawiła się i w Warszawie owa straszna choroba, o której postępach dochodziły nas ze Śląska i z Niemiec zatrważające wieści. O ile występuje ona epidemicznie, lekarze dają jej nazwę „meningitis cerebrospinalis“; jeżeli zaś pojawia się tylko sporadycznie, określa ją się jako drętwicę karku. Pierwszą ofiarą tej choroby padł w Warszawie rodak nasz, generał rosyjski.



Anarchiści przy robocie: Tak zazwyczaj wyglądają gotowe bomby, jakimi posługują się anarchiści międzynarodowi przy zamachach na panujących.

Generał major Walery Żyrkiewicz na początku wojny rosyjsko japońskiej wezwany został do czynnych szeregów armii; we Władywostoku przebył całą półtoraroczną kampanię.

Dopiero przed niespełna 5 tygodniami przybył do kraju, gdzie oczekiwała go żona oraz czworo dzieci. W interesach służbowych wyjechał gen. Żyrkiewicz do Petersburga, skąd wrócił niespełna dwa tygodnie temu. Stan zdrowia generała był doskonały, tak, że mógł zająć się osobiście interesami, złączonemi z administracyą posiadanego przy ul. Wilczej nr. 50 domu. Osobiście też kierował odnowieniem lokali. W ubiegły poniedziałek przyjechał do Warszawy brat gen. Żyrkiewicza, również wojskowy, który obecnie wystąpił z armii czynnej. Przyjazd brata niezwykle ucieszył gen. Żyrkiewicza. Z powodu jego przybycia urządzono przyjęcie, które przeciągnęło się do późnej nocy.

Generał był zdrów i niezwykle rozmowny. Nazajutrz, t. j. we wtorek przejawiać się zaczęły pierwsze oznaki choroby, które jednak tak silnie ogarnęły organizm generała, że zmuszony był po południu położyć się do łóżka. Przywołani do łoża chorego lekarze na razie nie mogli postawić właściwej dyagnozy. Stan zdrowia pogarszał się z dniem każdym, tak, że już w sobotę nastąpił całkowity prawie bezwład. W poniedziałek do konającego generała zawezwano księdza; a we wtorek o godz. 5 pp. gen. Ż. zmarł.

Na rysach zmarłego — którego w czasie tej strasznej choroby pielęgnowała żona, znana w świecie literackim pod pseudonimem Hanki Krzemienieckiej, oraz dorastająca 19-letnia córka — niewymowne cierpienia, jakie w ostatnich dniach przeżył, wyryły swe piętno. Zwłoki w metalowej trumnie przeniesiono do kościoła na Koszykach, skąd odbył się pogrzeb na cmentarz powązkowski.



Drętwica karku w Warszawie: Pierwsza ofiara tej choroby u nas, śp. Walery Żyrkiewicz, generał-major rosyjski, a rodak nasz, mąż polskiej autorki Hanki Krzemienieckiej.



Szesnastolecie ochotniczej straży pożarnej w Mikołajowie n. D.: Drużyna strażaków pod nowym sztandarem, z prezesem i naczelnikiem pośrodku. (Fot. Jurkiewicz z Przemyśla). (Do art. na str. 3).

Jeszcze za życia dokonali leczący go lekarze przekłucia lędźwiowego i rdzeniowego. Z ran wylała się materya, którą oddano do gabinetu bakteryologicznego.



Weterani szkoły realnej w Warszawie: Grupa byłych wychowańców I gimnazyum realnego z roku 1861 w Warszawie, z okazyi niezwykłego obchodu 45-ej rocznicy ukończenia szkoły, zdjęta przed ucztą koleżeńską w Sielance pod Warszawą przez Cz. Kulewskiego.

Weterani szkoły realnej w Warszawie.

45-letni jubileusz ukończenia gimnazyum, obchodzony przed tygodniem w Warszawie przez b. wychowańców I. gimnazyum realnego z roku 1861, jest wogóle rzadkością, o której dotychczas nie słyszeliśmy. Co prawda, wszyscy ludzie z wykształceniem gimnazyalnem, o ile dobiegli sześćdziesięciu paru lat wieku, mogliby odprawić taką uroczystość, ale niezbędnem po temu uświadomienie koleżeństwa i wczesne jego poczucie.



Niewinne ofiary pogromów: Artysta-malarz Kazimierz Bisier, ranny w rękę na Nowym Świecie dnia 9 bm. podczas pogromu „monopolu“ w Warszawie.

Z liczby szesnastu pozostałych przy życiu z ogółu 57, którzy ukończyli b. gimnazyum realne w r. 1861, dało tym razem znak życia 14, a stawiło się osobiście 9.

Obchód zaczęli zgromadzeniem się w kościele PP. Wizytek, gdzie przed 45 laty i dawniej uczniowie gimnazyum realnego słuchali przed lekcyami mszy codziennie. Wzajemne powitanie kolegów było serdeczne. Wszystkich głowy pokryła siwizna, ale wszyscy żwawo jeszcze chodzą i umysłowo trzymają się dobrze, pracując każdy w swym zawodzie. Po nabożeństwie udano się na plac uniwersytetu, gdzie wszyscy obeszli dawny budynek gimnazyalny, stanowiący obecnie pomieszczenie uniwersytetu. Z rozrzewnieniem stąpano po korytarzach i z uczuciem żalu spostrzeżono zupełne zapomnienie, w jakiem cały budynek pozostaje wewnątrz i na zewnątrz.



Tragiczny zgon: Pełen talentu uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, śp. Roman Gomulicki, 18-letni syn znanego poety, który utonął w Wiśle w Warszawie w czasie kąpieli.

Tu powzięto myśl złożenia odwiedzin dziekanowi p. Karolowi Jurkiewiczowi, a ongi nauczycielowi gimnazyum realnego i w tym celu złożono mu bilety wizytowe zgromadzonych. Złożono też bilety koledze regentowi I. Normarkowi który od paru lat popadł w ciężką niemoc.

Dodać trzeba, że wśród zebranych znalazło się trzech, którzy w r. 1853 rozpocząwszy kurs od klasy I, razem go ukończyli klasą 8 w r. 1861. Ci weterani obchodzili jubileusz koleżeństwa szkolnego za lat 53. Są to pp. Tadeusz Dutkiewicz, inżynier, Feliks Fryze, redaktor i Apolinary Przybylski, obywatel na Podolu.

Z uniwersytetu udano się tramwajem i koleją wilanowską do Sielanki, gdzie fotograf Kulewski zdjął 2 grupy zebranych, poczem koledzy zasiedli do stołu, przy którym wśród pogadanki spędzili czas do godz. 6 pp. Naturalnie uczczono pamięć zmarłych przez powstanie, a nieobecnym ze względów zdrowia, posłano telegraficznie koleżeńskie powitania

Następne ogólne zejście odbędzie się w r. 1911, a koledzy zamieszkali w Warszawie i okolicach zbierać się będą co rok 4 czerwca w redakcyi u kolegi Fryzego. Zebrani dali sobie na to słowo czy je będą mogli dotrzymać?

* * *

Na naszej rycinie widzimy ośmiu weteranów: w I rzędzie siedzą: Tadeusz Dutkiewicz inżynier, Feliks Fryze redaktor, Młodzianowski Maurycy urzędnik, Frankowski Roman obywatel, Srokalski Karol inżynier; — w II. rzędzie stoją: Apolinary Przybylski obywatel i przemysłowiec, Aleksander Kraushar mecenas, historyk, Augustyn Kręcki urzędnik kolei W. W.

Niewinne ofiary pogromów.

Warszawa zostaje pod wrażeniem zaiste niesłychanego pogromu monopolowych składów rządowych spirytusu i wódki. Po południu, w jasnej porze dnia, w różnych dzielnicach miasta o jednej i tej samej porze zniszczyły zorganizowane gromadki napastników 26 sklepów, obrabowali je z pieniędzy skarbowych, a gdzieniegdzie spalili. W niektórych miejscach przyszło do starć krwawych, przyczem padali od kul ludzie z obu stron. Ogółem zginęło 6 osób, wiele jest rannych.

Wśród tego były i ofiary tak niewinne i zupełnie przypadkowe, jak przechodnie na ulicy, których właśnie fotografie tu podajemy. A stało się to przy pogromie „monopolu“ na Nowym Świecie. Oto szczegóły tego wypadku:

W niedzielę o g. 5 pop., podczas największego ruchu spacerowego na Nowym Świecie, do sklepu monopolowego pod Nr. 12, weszło 7 ludzi, którzy polecili sklepowej największy spokój i zażądali pieniędzy. Tymczasem sklepowa, Józefa Tusakowska, wszczęła alarm, a z pomocą przybyła jej z sąsiedniego pokoju siostra Helena.

Wówczas na pastnicy dali do niej strzał, przyczem kula zraniła T. w ramię. Następnie napastnicy nie zdążywszy zabrać pieniędzy z kasy, skierowali się ku wyjściu, gdzie spotkali się z żołnierzami, zaalarmowanymi strzałami w sklepie. Bandyci rzucili się do ucieczki, a żołnierze dali do nich szereg strzałów, w tejże jednak chwili obaj padli.

Jednocześnie z pośród napastników padł jeden, jak następnie stwierdzono, 33-letnl Józef Wijec.

Temiż strzałami zraniony został w głowę i nogę, jadący dorożką z p. Bisier, p. Stanisław Ta-



Niewinne ofiary pogromów: Śp. Stan. Tatarkiewicz, urzędnik kolei Warsz.-Wied., który zginął od kuli podczas pogromu „monopolów“ w Warszawie na Nowym Świecie dnia 9 bm.



Komitet Wystawy psów rasowych, urządzonej w tych dniach w Warszawie przez Tow. prawidł. myśliwstwa: Prezes hr. Illiński-Kaszowski, hr. Wł. Potocki, O Saenger, J. Zarembski, J. Stolcman, W. Hertzberg, Wł. Słonczyński, A. Miernowski, Br. Wysocki, E. Orda, R. Więckowski. Al. Szwede. (Fot. spec. dla „Nowości Ill“. Nemo).

tarkiewicz (Wiejska 15). Odwieziony do szpitala św. Rocha, T. niebawem ducha wyzionął.

Ranny również został p. Bisier, którego dorożką odwieziono do domu, na ul. Wiejską.

Pomnik Chmielowskiego.

Na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie odsłonięto w ubiegłą niedzielę pomnik ustawiony nad grobem, kryjącym śmiertelne szczątki znakomitego uczonego polskiego, głębokiego znawcy literatury naszej i krytyka, wybitnego profesora i dzielnego obywatela, śp. Piotra Chmielowskiego. Po przedwczesnej śmierci tego zasłużonego męża, powstała myśl uczczenia jego zasług i pamięci odpowiednim pomnikiem. Od myśli tej musiano początkowo odstąpić z powodu braku funduszów, a pomyślano natomiast o ustawieniu dla śp. Chmielowskiego grobowca na jego mogile. I oto myśl ta została rychło w czyn zamienioną. Zabrano się energicznie do zbierania składek, a kiedy ilość ich doszła do odpowiedniej wysokości, powierzono młodemu, ale bardzo utalentowanemu rzeźbiarzowi, p. Stanisławowi Ostrowskiemu, budowę tego pomnika. I stanął na cmentarzu pojedynczy, skromny, z kamienia brunatno-szarego, oraz białego wykuty ostrosłup, a obok oparta oń całym ciężarem ciała postać kobieca, w żałobnej szacie, z lampką w ręku.



Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz, Lwów.

Pomnik Chmielowskiego we Lwowie: Uroczystość odsłonięcia na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie pomnika na grobie śp. Piotra Chmielowskiego, wielkiego patryoty i historyka literatury ojczystej.

W odsłonięciu pomnika śp. Chmielowskiego wziął udział cały lwowski świat literacki i artystyczny. Wygłoszono też szereg przemówień, a to imieniem komitetu budowy prof. Roszkowski, imieniem miasta prezydent Michalski, imieniem uniwersytetu prof Kallenbach, oraz akademicy.

Plotki lwowskie.

(Czemu Lwów jest Pipidówką. — Afera p. Londyńskiego i jego Zosi z Warszawy. — Salon literacki i goście nieliteraccy. — Gdzie się to skończyło i czemu? — Heller interwiewiuje samego siebie. — Wszechwiedzący dyrektor i czego on jeszcze nie wie? — Dobre strony. — Sensacyjna uchwała śpiących radnych i jej powód).

Zdaje mi się, że już raz, czy dwa razy udało mi się udowodnić na szpaltach „Nowości“, że Lwów jest Pipidówką, widzianą przez szkło pięciokrotnie pomniejszające. Ostatni tydzień dostarczył świeżego dowodu na moje twierdzenie. Przyjechał do nas z Warszawy w styczniu b. r. pewien literat tamtejszy pan Bolesław Londyński, który przywiózł ze sobą z Warszawy piękną pannę Zosię. Nie była jego żoną, ani narzeczoną, ale tak sobie poprostu miłą towarzyszką podróży i literackich przygód. Nie wiem, czy p. Londyński (pisujący — jak sam twierdzi, książki pod pseudonimem dr Prosalus i Mieczysław Rościszewski) przyjechał do nas na badania naukowe, czy polityczne, ale dość, że Warszawę opuścił a osiadł we Lwowie, gdzie przy eleganckiej ulicy Kraszewskiego wynajął dla siebie i panny Zosi wspaniałe gniazdko złożone z 8 pokoi, kuchni, przedpokoju, łazienki, z przynależytościami i strychem, jak piszą na białych kartkach we Lwowie. Nic dziwnego, że to gniazdko było zbyt drogie i zbyt wielkie dla dwojga osób, nawet zakochanych, więc państwo Londyńscy otworzyli gościnne drzwi dla tych, co chcieli się bawić i połykać ślinę na widok ognistych całusów warszawskich. Przekonano się bowiem, że warszawiacy całkiem inaczej się kochają i inaczej się całują. Ulica zwracała uwagę na niezwykłą urodę pięknej warszawianki i od czasu do czasu ktoś z ulicy zabłąkał się w warszawską parę, starając się zbliżyć. Czasem szło to łatwiej, czasem trudniej, czasem wcale nie szło. To zależało...

Przez gościnne salony literackie państwa Londyńskich przesuwały się różne, liczne figury, mające nieraz tyle wspólnego z literaturą, ile psi ogon z rysim kołpakiem i na tej podstawie twierdzą ciekawi, że nie przychodzili tam dla literackich produktów gospodarza, ale raczej dla czarodziejskich uśmiechów jego prześlicznej pomocnicy. Co tam się poza tem działo, nie wiem dokładnie, bo policyi nie wierzę, a sam tam z braku czasu, pieniędzy i sposobności, nie chodziłem. Ale dość smutnem dla nas świadectwem jest fakt, że do sprawy tak bardzo prywatnej, a nawet dyskretnej natury, wmięszała się policya. Skąd policya do miłości i literatury? Czy ona się na tem rozumie? Ale możnaby jej to wybaczyć, gdyby choć po wmięszaniu się była zachowała jakieś kardynalne zasady „savoir-vivru.“

Gdzie tam! A nie wolno zapominać, że nie była to policya konna, ale elektr — pardon — piesza. Po pieszej można się było zawsze spodziewać więcej taktu i dobrego wychowania.

Pan Londyński wyjaśnia wprawdzie w liście, że jakiś złoty młodzieniec, nie mogąc się dobić do serca uroczej Zośki warszawskiej, zemścił się w ten sposób, że anonimowym listem zadenuncyował ich przed policyą, posądzając jego o — rzecz straszną, a ją — lepiej, nie mówmy o tem. Tak, czy siak, poszła sprawa do policyi, z policyi do dzienników, z dzienników w usta, z ust w świat, a stąd znów do dzienników, robiąc dużo hałasu o nic i rozdzielając warszawską parę na długo — jego do kryminału a ją do szpitala. To się nazywa Pipidówka. To zrobiła krwio- i honorożercza policya i sensacyożercze dzienniki.

Dlatego powiadam, że jak długo nie zniesiemy policyi i nie zawiesimy na kołku dzienników, nie będzie spokoju ani bezpieczeństwa publicznego, nie wolno będzie pokazać się na ulicy z piękną dziewczyną, nie wolno będzie przyjmować u siebie jej przyjaciół i adoratorów, nie można się będzie zasłonić eufemicznym tytułem literata z pseudonimami, nie wolno będzie odpalać rywalów nieproszonych, nawet nie wolno będzie u siebie w domu chorować. Teraz to wszystko jest zakazane i mięsza się w to nieproszona policya.

A p. Londyński, któremu się zdawało, że z niewolnej Warszawy przyjeżdża do wolnego miasta, gdzie już konstytucya dosięgła zenitu, pluje teraz na tę lwowską wolność i powiada, że Lwów jest marnym kurnikiem, w którym policya wie nawet, które kury znoszą jaja, a które nie znoszą. Dlatego czeka tylko, aż mu jego kurkę wypuszczą zdrową ze szpitala i wraca z nią do Warszawy albo do Krakowa.

Poza tem tylko mało mieliśmy sensacyj. Najsensacyjniejszym jest interwiew z dyr. Hellerem, który napisał sam Heller i zamieścił w jednym z tutejszych dzienników. Pominąwszy doskonały pomysł sprytnego dyrektora, sama treść jest także sensacyjną. Dyr. Heller już wie dziś, kto będzie za rok grał w jego teatrze, umie powiedzieć, że 1-go lipca 1907 wystawi Halkę w Krakowie, że Hamlet pójdzie 16-go listopada, Bolesław Śmiały 12-go listopada, Starościc ukarany 24-go września — jednem słowem wie wszystko. To bardzo ładnie, skoro człowiek umie być tak wszechwiedzącym, ale z drugiej strony nie dobrze, kiedy człowiek jest tak bardzo pewnym. P. Heller bowiem podał już, co wie, ale jeszcze nie podał, czego nie wie. A nie wie, czy wszyscy żyć będziemy, czy artyści się nie rozlecą, czy autorowie dotrzymają słowa, czy nie przyjdą takie wypadki, od których cały teatr przewróci się do góry nogami i wiele, wiele innych jeszcze rzeczy może nastąpić, o których pan Heller jeszcze nie wie a zatem wiedzieć nie może, czy to, co wie, jest takiem pewnem, aby aż zgadzało się z datami. Oj, te daty!

W każdym razie podziwiać można żelazną energię i spryt tego człowieka, który nie wypuszcza ołówka z ręki. Wolno się naprawdę spodziewać, że teatr lwowski chwiejący się pod delikatną rączką Pawlikowskiego, postawi na nogi. O lepszego administratora trudno, a to dawało się u nas odczuwać aż nazbyt dotkliwie. I teatr na tem źle wychodził i publiczność i sam dyrektor. Heller ma wprowadzić wzorowy porządek i niewątpliwie wprowadzi.

Na koniec mam do zanotowania sensacyjną uchwałę naszej Rady miejskiej z ubiegłego tygodnia w sprawie osławionego już miejskiego zakładu pogrzebowego. Już drugi rok tłucze się ta sprawa, jak Marek po Lwowie i nareszcie w tym tygodniu miała się doczekać pomyślnego załatwienia. Tymczasem to, co teraz uchwaliła nasza Rada miejska, jest tak monstrualną zagadką, że sami radni po uchwaleniu otworzyli usta zdumieni, nie wiedząc, co właściwie uchwalili. Na trzy wnioski, ażeby utworzyć zakład pogrzebowy, ażeby go nie założyć i ażeby całą sprawę odroczyć — upadły... wszystkie trzy... „Alles schon dagewesen“, ale takiej uchwały jeszcze nie było. Ma to swój powód. Radni przychodzą teraz na posiedzenia zmęczeni i śpiący, często nie wiedzą o co chodzi, a przy głosowaniu nie chcą ryzykować i boją się podnieść rękę. I stąd poszło. Potem przez długi czas myśleli nad tem, co zrobić z tą uchwałą, aż im radny dr Aschkenazy poradził przyznać się, że to była bardzo nielogiczna uchwała. Ale się nie przyznali.

Klewe.

Tragiczny zgon.

Straszny cios dotknął znanego poetę, Wiktora Gomulickiego: syn jego 18 letni, Roman Gomulicki, uczeń Szkoły sztuk pięknych, młodzieniec utalentowany i pełen świetnych nadziei artystycznych, kąpiąc się w Wiśle w Warszawie, utonął.

Wielkiem nieszczęściem dotkniętemu ojcu przesyłamy słowa gorącego współczucia. Pociechą niech mu będzie miłość i uznanie, jakie sobie śp. Roman zdobył w gronie dyrekcyi szkolnej profesorów i kolegów, którzy ogłaszają następujące pismo:

„W szeregach uczniów warszawskiej szkoły sztuk pięknych zabrakło na zawsze jednego z jej wychowańców!... Ubyła jednostka, a jednak szczerba jest znaczna! Znaczna, bo w tym młodzieńcu profesorowie szkoły i towarzysze jego pracy widzieli iskrę talentu, która się z czasem mogła w duży płomień zamienić i dodać blasku sztuce polskiej. Szkoda go! Miał talent, miał miłość swych przewodników i towarzyszów pracy! Wszyscy go lubili, kochali — wszyscy też go najserdeczniej żałują. Składamy cześć jego pamięci i ślemy szczere, serdeczne współczucie zbolałemu ojcu!“

Tak tragicznie zmarły młodzieniec, syn Wiktora i Maryi z Humięckich, skończył szkołę realną Wróblewskiego. Od roku dopiero studyował malarstwo w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, gdzie obecnie jest urządzona mała wystawka jego szkiców. Jako talent malarski zapowiadał się bardzo obiecująco, co stwierdzili nauczyciele, udzielając mu licznych odznaczeń.



Nasi przyszli ogrodnicy: Słuchacze i słuchaczki obecnego kursu ogrodniczo-pszczelarskiego w Muzeum pszczelniczo-ogrodniczem w Warszawie. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ Cz. Kulewski).

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

10 (Ciąg dalszy).

Właśnie stróż nocny, słysząc wrzaski, wpadł zaniepokojony na ganek i dostał się do ciemnej jadalni. Po omacku poszedł do drzwi otwartych, skąd buchał blask. W świetle lampy na środku swego pokoju stał w koszuli ksiądz Jan i jedną ręką mocno trzymając za ramię zupełnie nagą kobietę, drugą okładał jej ciało grubym sznurem, jakim kufer jego był przymocowany w drodze do powozu. Razy musiały być silne, bo na obnażonych plecach widoczne były pręgi czerwone, a ofiara daremnie wyrywająca się z rąk waryata, jęczała boleśnie... Stróż nocny nie namyślając się wiele, rzucił się na księdza, wyrwał mu z ręki sznur, poczem przez chwilę szamocąc się jeszcze z nim, uwolnił wreszcie tercyarkę — w chwili, gdy akuratnie w drzwiach od przedsionka stanął furman dworski i parę osób z czeladzi krzykami rozbudzonej.

. . . .

Jeszcze do świtu było daleko, gdy z przed folwarku ruszyła dworska kareta, wracając nagle do S..., dokąd miano wyjechać dopiero przed południem.

Przed samym wschodem słońca zaturkotał powóz na dziedzińcu dworskim. Psy ujadały przez chwilę, lecz uciszyły się zaraz, mimo, że stróż nocny wcale ich nie uspakajał, domyśliwszy się, że to wróciła siostra Felicya.

W oknach frontowych było o tej porze ciemno wszędzie, z wyjątkiem jednego na piętrze, gdzie w pokoju świeciła się lampa.

W tem też oknie ukazała się na chwilę tuż przy szybie głowa dziedzica, wywabionego turkotem. Jakkolwiek zdziwiony tak przyśpieszonym powrotem tercyarki, która miała przyjechać dopiero rano po noclegu na folwarku, pan Edward upewniwszy się przez okno, że to powóz z nią zajechał, zaraz cofnął się w głąb pokoju.

Jeszcze nikt ze służby nie wyszedł na ganek, w całym domu prawie wszyscy spali o tej porze i tylko w zabudowaniach dworskich ten i ów wstał już do bydła.

Podróżna wysiadła z powozu i prosto szła na pierwsze piętro domu, śpiesznie mijając korytarz po omacku, gdyż lampy wszystkie były pogaszone. Wreszcie drzwi otwarła do jednego pokoju oświetlonego, a był to pokój dziecinny.

Nad łóżeczkiem Czesia siedział pochylony w strapieniu pan Edward, a tuż przy poduszkach, na których widać było rozognioną twarzyczkę chorego chłopca, klęczała stara Teklunia.

Drugie łóżko Zdzisia było posłane i puste.

Ledwie drzwi się uchyliły, pan Edward zerwał się z siedzenia i w tejże chwili w jego objęciach znalazła się młoda kobieta w stroju podróżnym. Może mimowoli, może nawet bezwiednie, uścisnęli się gorąco, poczem przybyła rzuciła się ku łóżku chorego dziecka i rozpłakała się głośno łzami matki.

To niespodziewanie zamiast siostry Felicyi przyjechała dworskim powozem z folwarku sama dziedziczka. Ciężka choroba dziecka w mgnieniu oka zdołała pogodzić powaśnionych małżonków.

Ojciec uspokajał płaczącą matkę, ale mu to nie szło, nie mógł bowiem zataić przed nią niebezpieczeństwa grożącego choremu synowi.

A wtem dźwignęła się nagle pani Edwardowa i rozejrzawszy się po pokoju, z przerażonym wzrokiem zwróciła się do Tekluni, wskazując drugie łóżko próżne.

— A Zdziś gdzie?

— U mnie... śpi zdrowiusieńki w mojem łóżku... tylko, że tu nie można było, bo to zaraźliwe — uspakajała dziedziczkę stara klucznica, zdejmując z niej kapelusz i okrycie.

Dziecko w gorączce nie poznawało matki, której Teklunia wraz z panem Edwardem jęła dopiero rozpowiadać, kiedy i w jakich okolicznościach rozchorował się chłopaczek.

— Przeczucie jakieś matczynego serca przywiodło tutaj panią w samą porę... A ja tak nalegałam, że koniecznie trzeba posłać po matkę.

Pani Edwardowa nic na to nie odpowiedziała, pomyślała sobie jednak, że tym razem serce jej nic nie mówiło i nie przeczuwała niebezpieczeństwa dziecku grożącego, sprowadził ją zaś do domu jedynie przypadek.

— Uciekłam przed waryatem — mówiła do męża w parę godzin później, opuściwszy z nim pokój dziecinny.

A kiedy opowiedziała mężowi wszystko, co tylko mogła powiedzieć mu o swojej nowej znajomej siostrze Felicyi i zakończyła opisem kulminacyjnej sceny, na jaką przez kilka sekund patrzeć była zmuszona tej nocy na folwarku — nie chciał już po prostu pan Edward wierzyć jej słowom.

— To być nie może... to nie sposób doprawdy, bym ci mógł uwierzyć... tak brzmi to niesłychanie nieprawdopodobnie.

— Świadkowie byli i wszyscy na szczęście pozostali przy życiu... Więc jeżeli już własna żona twoja wiary u ciebie znaleźć nie zdolna, toć chyba wierzyć zechcesz ludziom zgoła obcym, którzy chyba interesu nie mają przedstawiać taką historyę fałszywie... Ich pytaj, niech ci oni powiedzą, niech ci wiernie powtórzą.

Dziedzic jeszcze nie ufał, jeszcze nie był dość przekonany i nie odwlócząc, zdecydował się na przesłuchiwanie świadków.

Z miejsca tedy pobiegł do stajni, odszukał furmana dworskiego, który woził jego wraz z Felicyą do Płocka, a wczoraj jeździł z tercyarką i księdzem na folwark.

— Słuchajno Wosinek... jak ci Bóg miły, gadaj mi prawdę... Słyszę o jakowejś na folwarku awanturze tej nocy... Jakkolwiek by nie było, świadectwo dać prawdzie rzetelnej godzi się i należy z obowiązku chrześciańskiego bez względu na osoby... Nie obawiaj się chłopcze, nic ja ci za to nie zrobię, byleś mi wszystko powiedział, co wiesz. Gadaj, coś widział.

— No, mnie tam wszystko jedno, proszę pięknie jasnego pana, albo to ze mnie panna, cobym aż miał w bawełnę obwijać... juści prawdę wyśpiewam, cobym tak pragnął spokojnego skonania...

— Mówże prędzej, Wosinek.

— Ano, proszę ja pana dziedzica, to niby było tak: Zmęczony byłem nie mało przecież po takiej ci podróży, cośmy to odbyli, to i nie dziwota, jako żem na folwarku legł zaraz, oporządziwszy konięta, no i śpię twardo...

— Prędzej... coś widział...

— A tu pani siostra po wieczerzy lezie na podwórko i łapie jednego po drugim, tak dalej na spytki... Niby to chodziło pani siostrze o naszą jasną dziedziczkę. Ha, cóż mógł kto powiedzieć, a pani siostra pyta i pyta i nie wiele mądrzejsza lezie do inszej czeladzi ciągać o to za jęzor.

— Bałamucisz, mój Wosinku, pleciesz różności, a nie powiadasz, coś miał pono widzieć na folwarku.

— Otżeż właśnie prowadzę... Z łaski swojej pan dziedzic wysłucha do końca... Więc mówię, że ległem se i śpię. Nic pani siostra nie wyciągnęła z gęby nikomu, zła tedy już była, a wieczór niby to już późny. Zaczem ci włazi do stajni, ino tu już żadnego nie szukała, bom ja był sam, a mnie rozpytywać się o to nie mogła. Tylo wlazła zamówić se powóz na rano, cośmy mieli wracać do dworu sami.

— Wiem to wszystko, czemu tak nudzisz z tem, wystękaj się nareszcie.

— Siadła se przy mnie pani siostra, a żem spał, tom mało co wiedział, jak ta znów długo siedziała przy mnie... A że mnie ono siedzenie rozbudziło i widzę to, co mi się śniło, jako mię głaska i ściska... Dopierom się opamiętał, myślę, co jest i zrywam się... To siostra przyszła była tak naumyślnie zbudzić mnie, cobym wiedział, kiedy mamy jechać.

— Głupiś Wosinku... będziesz plótł do jutra.

— Właśnie powiadam... Zostawiła mnie pani siostra, tom se dalej spał. Aż tu mnie budzą. Ja w strach, co ci takiego, stało się cosik... Ciągają mnie, lecę za drugimi na pokoje...

— Prawdę mi mów, nie łżej.

— Przecieram se oczy zaspane, boć to przecie dziwowisko było nie do wiary... Ale to proszę jasnego pana wiadomo, ma ksiądz być niespełna rozumu... Okrutnie bił, tak ciegiem smagał, że nie wiadomo, coby było, gdyby mu tak nie był nocny stróż wydarł nareszcie z rąk panią siostrę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ofiara bandytyzmu: Śp. Kazimierz Jeżewski, urzędnik Kasy przemysłowców w Warszawie, zabity podczas niedawnego napadu bandytów na tę kasę. (Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“ fot. J. Raczyńskiego).

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza, druga i trzecia zajmuje słuchacza
Trzecia, czwarta i piąta — zawsze słuszną bywa.
Całości — niechaj nikt z nas nigdy nie doświadcza,
Odbywa się w szpitalu — jest strasznie dotkliwa.

II.

Ułożył B. Gryglewski, Stanisławów.

Pierwsze-czwarte wszystkim znane
Jest następstwem złego,
Trzecie-czwarte — jest okresem
Czasu, lecz dłuższego.
Całość — dzisiał ideałem
Wielu młodych ludzi,
Dążą do niej ze sił wszelkich
I nic ich nie trudzi.

Logogryf.

Ułożył B. Gryglewski, Stanisławów.

Ze zgłosek: ap, as, bycz, dan, do, do, e, i, jej, ni, nim, no, ny, o, pa, po, pseu, ro, ro, ryk, ski, so, su, te, te, u, wiec, zaw, zdo, żec — ułożyć dziesięć wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą tytuł wspaniałego poematu polskiego, a litery końcowe, w tymsamym kierunku czytane, nazwisko autora tego poematu.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej ukryte nazwisko autora jakiegoś dzieła literackiego. 2. Inaczej, w staropolskim języku, pani. 3. Jedno z największych zwierząt lądowych 4. Słynny król Wizygotów. 5. Znakomity parlamentarzysta, obecnie minister węgierski. 6. Największy poeta włoski. 7. Postać znana z biblii. 8. Autor „Z dymem pożarów“. 9. Inaczej surowy metal. 10. Inaczej łup.

Zagadka.

Ułożył M. Rożański w Gorlicach.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko znakomitego współczesnego poety oraz tytuł najnowszego jego dramatu, granego niedawno na scenie lwowskiej.

X O O O O O O O O O O X
X O O O O O X
X O O O O O O O X
X O O O O O O O O O O O O X
X O O O O O O O O O O X
X — — — X
X O O O O O X
X O O O X
X O O O O O X
X O O O X
X O O O O X
X O O O X
X O O O O O O O O O O O X

Znaczenie wyrazów: 1. Rzemiosło. 2. Imię męskie. 3 Nazwa wschodniej materyi jedwabnej. 4. Dwa miasta w Belgii. 5. Miasto w Czechach. 6. Dwie litery, jedna samogłoska jedna spółgłoska. 7. Naczynie kuchenne. 8. Imię męskie 9. Tytuł tragedyi Sofoklesa. 10. Inaczej wycięcie lasu. 11 Imię żeńskie. 12. Ryba. 13. Dwie miejscowości kąpielowe w Galicyi.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy zgłoski, z których powyższe wyrazy należy utworzyć: ald, bi, bień, bu, c, ce, char, dzie, e, głów, i, jo, ka, kacz, kar, le, lek, lu, mu, na, ni, nicz, non, pern, pił, raś, rąb, ro, roi, sa, sie, stwo, to, tra, wi, wo, wy, y, y, ze, zło.

Arytmogryf literacki.

Ułożyła Zetka.

3 **14** 6
1 2 **6** 4 6
2 13 8 **12** 4 10 **15**
4 **5** 14
1 6 7 7 **6** 14 10 12 5
9 6 **7** 11 6
10 1 11 **17** 13 7 11
17 6 2 **6** 16 10 6
10 **20** 6
9 8 12 **6** 17 6 7
2 6 **2** 19 6
7 **10** 6
10 4 13 **20** 11 10 18
1 21 24 4 11 **11** 10 20 11 18 10
22 13 **18** 9 6
19 23 4 **22** 11 10 2

W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w kierunku pionowym, utworzyły imię i nazwisko znakomitego powieściopisarza warszawskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Powieść Gawalewicza. 2. Powieść Kosiakiewicza. 3. Powieść Zali. 4. Nowella Konopnickiej. 5. Powieść Tetmajera. 6. Nowela Sienkiewicza. 7. Powieść Srokowskiego. 8. Powieść Krzyżanowskiego. 9. Powieść Berga. 10. Powieść Gąsiorowskiego. 11. Powieść Prusa. 12. Powieść Abgersołtana. 13. Powieść Korzeniowskiego. 14. Powieść Prevosta. 15. Powieść Royowicza. 16. Powieść Rodziewiczówej.

Arytmogryf.

Ułożył T. P. z Miżyńca.

					1					
				9	2	12				
			9	11	3	18	2			
		10	15	19	4	4	20	11		
	12	2	4	7	5	1	9	13	15	
1	2	3	4	5	6	5	7	5	6	8
	14	15	19	4	5	1	9	13	15	
		13	3	4	7	1	21	1		
			17	4	5	13	1			
				20	6	8				
					8					

Liczby zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły pseudonim znakomitego współczesnego powieściopisarza.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Galicyi środkowej, wpadająca do Wisły. 3. Część mszalnego ubioru kapłana, używana przy każdej zresztą liturgicznej czynności. 4. Komiczna maska w komedyi francuskiej. 5. Komedyopisarz polski. 6.?. 7. Znakomity malarz polski. 8. Znakomity artysta rzeźbiarz, twórca „Mickiewicza“. 9. Inaczej mały wóz. 10. Wykrzyknik. 11. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort biszkoptowy** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 22.

Szarady.

I. Litania.
II. Karmelita.

Logogryf.

Harakir**i**, **E**pikurejczy**k**, **n**arcy**z**, **R**ostan**d**, **Y**amiak**a** **K**irko**r**. **S**awantk**i**. **I**nterregnu**m**. **e**nsembl**e**. **n**arkotyk**i**, **k**o**k**o**s**, **i**ndy**k**. **E**l-**y**, **W**erte**r**, **I**ra**n**. **c**iceron**e**. **z**ły-duc**h**.

Henryk Sienkiewicz — Henryk Siemiradzki.

ZAGADKA.

S. Muromcew — Dołgoruki — Grodeskuł.

Zagadka trójkątowa.

W, t**y**. Bu**g**, dwó**r**, śled**z**. koma**r**y, Wrocła**w**, Zapolsk**a**. Maryampo**l**, Alcybiade**s**, Macedończy**k**, **Wygrzywalski**.

Wygrzywal-ki.

Łamigłówka.

Seweryn — Cremona — agronom.

Kryptogryf.

Gracy**e**, **O**stró**g**, **e**-Erazm. **T**eram**o**. **h**etma**n**. **E**ufra**t**.

Goethe — Egmont.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Peczeniżyn, M. Arbesbauer Lwów, K. Jasiński Kraków, L. Rączkowski Kraków, J. Jaroszkówna Przybysławice, J. Wodziczkówna Germakówka, A. Pukalski Andrychów, A. Surowiecki Kraków, J. Haładej Górki, Al. Bocsoń Bóbrka, B. Ramułtowa Jeżów, S. Suchomel Tartarów, Fr. Niepokój Krosno, M. Opolska Czarny Dunajec, S. Samueli Limanowa, Br. Weismanówna Limanowa, M. Weimerowa Przybysławice, M. Rożański Gorlice, Tow „Zgoda“ Krosno, A. Batko Lwów, Urząd pocztowy Starzawa, Fr. Janicki Łazy, Z. Ehrenberg Kraków, ks. J. Markiewicz Kolbuszowa, I. Pompianka Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, T. Domain Sanok, Fr. Kośmider Nowy Sącz, H. Plechawska Stanisławów, P. Morawska Dynów, ks. Suski Brrezie, St. Szwabowicz Zurawno, H. Mokrzycka Turbia, K. Jurkiewicz Tłumacz, J. Sulkowski Kraków, Fr. Kalita Gawłuszowice, A. St. Bassara Niwiska, Bl. Pieterkiewicz Czerniowce, St. Dobrzyniecki Stanisławów, E. Bogdalska Koropuż, J, Lipińska Okno, O. Paszkowski Fiume.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał **p. Franciszek Janicki w Łazach.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi:

WP. Tomasz Marusza w Brzeszczu p. Jawiszowice: Spostrzeżenia Pańskie i nas serdecznie zajęły. Ale i my nie możemy Panu wytłómaczyć, w jaki sposób „wzięły się ryby w chmurach“ i dlaczego właśnie na terytoryum Brzeszcza pospadały. Fakt, że w Brzeszczu padał deszcz z rybami, długiemi na 20 ctm. jest dla nas tak samo niezrozumiały, jak dla Pana.

Kącik humorystyczny.

Hyperbola.

Na Równiku jest tak gorąco, moi panowie — opowiada pewien podróżnik — że kurom uwiązują woreczki z lodem, żeby nie wylęgały jajek na twardo...

Sąsiedzi.

I. włóczęga: Skąd znasz tego eleganckiego pana, któremu się kłaniałeś?

II. włóczęga: Mieszkaliśmy kilka lat pod jednym dachem.

I. (niedowierzając): On u ciebie!

II.: Nie, ja u niego, bo to jest dyrektor więzienia...